

# Czternasta część



ELIZA ORZESZKOWA

## Czternasta część

OBRAZEK MIEJSKI

### I

Ulica Kwietna była przed kilkunastu laty jedną z ulic miasta Ongrodu najcichszych i najbardziej wiejski pozór mających. Niebrukowana, piaszczysta w lecie, a błotnista w jesieni, z dwoma szerokimi szlakami trawy w miejscu chodników, jednym końcem dotykała ona obszernej, zielonej łąki, drugim łączyła się z wązkim zaułkiem, którego wysokie kamienice, niby murem granicznym, oddziały ją od gwarne i turkocącego środka miasta. Z obu stron ulicy tej stały, w znacznych od siebie odległościach, drewniane jednopiętrowe domy, błękitnawe, lub różowe, sztachetami na zielono pomalowanymi, albo białawymi płotami, od siebie odgródzone. Z-za sztachet, czy płotów, wychylały się rozłożyste gałęzie drzew owocowych i przeświecały zagony, usiewane warzywem. Przez otwarte bramy, lub fórtki, widać było dziedzińce nieobszerne, na-pół wiejskie, bo niebrukowane najczęściej i trawą zarosłe, szaremi budowlami ostawione.

Na dziedzińcach tych uwijały się i na przechodniów poszcze kiwały psy i pieski różnych wielkości i gatunków; nie rzadko, około wschodu i zachodu słońca, krowy przeciągle i rozgłośnie ryczały, po dachach przechadzały się poważne, wypasione koty, a we wszystkich prawie oknach zieleniły się i kwitły rośliny, hodowane w wazonach, bujne i pachnące gieranie, laki, balsaminy, hortensye, rozłożyste, gwiazdowate aurykle.

Przechodząc ulicą tą, w letniej porze i około zachodu słońca szczególnie, dostrzegać można było po drodze drobne, lecz rozmaite rodzajowe obrazki. Tu i owdzie z-za niskich białawych płotów wychylały się wśród zieleni szeregi małych głów dziecięcych, z rozrartanym włosiem, grubemi rysami, rumianą cerą, z oczyma roziskrzonymi swawolą, z bujnym owocem, albo sporą krajanką sera, przy pulchnych śmiejących się wargach. Tam, u dalekiego końca ulicy, podnosiła się przezroczyista i promieniami słonecznymi przenikniona chmura kurzawy, a wśród niej, jak w różowo złocistym obłoku, sunęła z wolna liczna trzoda krów, wracających z pola, chóralnym ryczeniem napełniając powietrze. Tu hoża gospoia, z donicą w ręku, żwawo przebiegała dziedzińce; tam podstarzały gospodarz, z uśmiechem zadowolenia, podpierał w ogródku swym krzewy i oczyszczał drzewa; ówdzie jeszcze widać było w altanie, utworzonej z prętów, owiniętych kwitnącą fasolą, stół, zastawiony do rodzinnej wieczery; gdzieindziej dziecię małe, w koszulce i bosonogie, na schodkach gankowych siedząc, z miłością cisnęło do piersi potulne kocię młode, albo inne, doroślejsze już, wyprawiało po piasku dziedzińca harce i gonitwy, z gorliwym, lecz łagodnym, stróżem domowym, pstrokatym, ogromnym kundlem. W niektórych domkach dźwięczały za oknami struny fortepianików, starych widocznie, bo ochrypłych, lub zbyt krzykliwych; w jednym zaś z domów, w największym ze wszystkich, długimi niekiedy godzinami, z zawziętością szczególną rzępoliły skrzypce, wygrywające najrozmaitsze z kolei tańce. Na zewnętrznej ścianie domu tego wisiała tablica z napisem: „Edward Robek, metr tańców. Lancjery, imperiale, oraz kaczucze, pas de deux i wszystkie inne tańce salonowe, zgrabność figury i gracyą damską najlepiej wyrabiające”.

Bezpośrednio za przybytkiem tym muzy tańca i gracyi, bo niewielkim tylko warzywnym ogrodem z nim rozdzielony, stał bardzo porządnie wyglądający dom o sześciu oknach, drewniany i jednopiętrowy, tak, jak inne, lecz na wysokim podmurowaniu wzniesiony, biały i z błękitnymi okiennicami. Na strychu domu tego urządzone był pokój, zwany salką, którego małe okienko, bokiem zwrócone do bramy, wychodziło na

dziedziniec i tak już wysoko umieszczoném było, że, górując nad otaczającymi budynkami, pozwalało swobodnie toczyć wzrokiem po łące obszernej, ścielącej się u końca ulicy, po długim pasie ciemnego lasu, zamykającym widnokrag, po szerokiej, drzewami osadzonej drodze, przerywanej łąką, i po wznoszącej się nad tęp wszystkiém, niczém nie zakrytej, kopule niebios.

Okienko to codziennie o zachodzie słońca otwartém bywało na oścież, a w oprawie grubych ram jego, nad szeroko wystającym daszkiem gontowym, widać było głowę i ramiona siedzącej u okienka kobiety. Ramiona te były szczupłe i kształtne, czarną wełnianą suknią po szyję okryte, twarz drobna, zmięta, lecz okrągła i różowa. Wśród tej różowej, w pół-starzej, a w pół-dziecinniej twarzy, wielkie, piękne oczy z dala już świeciły głębokim i świeżym szafirem bławatków.

Siadywała czasem w otwartém okienku celki owjej z igłą, lub drótami w ręku, a wtedy pracowała tak pilnie, i pochylała głowę tak nisko, że, utopiona w zajęciu swém, zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, a żywe rumieńce, okrywające zwykle okrągłe jej policzki, podnosiły się aż ku figlarnym i młodziutko wyglądającym kędziorkom, osypującym pomarszczone jej czoło.

Wtedy, z głębi salki wylatywały ptaki z gorąco ponsowém pierzem, siadywały na jej ramionach, czepiały się ram okienka, a szczebiot ich, złożony z donośnych, gwizdzących tonów, rozlegał się daleko po dziedzińcu i ulicy. Były to same gile oswojone, wypieszczone snadź i szczęśliwe w niewoli dobrowolnej, bo, jakkolwiek zajęta robotą swą kobieta całymi godzinami nieraz nie zwracała na nie najmniejszej uwagi, żaden z nich nie odleciał nigdy dalej, jak na rosnącą u samej ściany brzozę rozłożystą, która giętkie gałęzie swe zarzucała aż na wystający u dołu okienka daszek gontowy, a w gęstwinie swjej chroniła roje małych świegotliwych wróbli, szeroko i pospolicie wyglądających przy hodowanych w salce ptakach, z papuziami główkami i szkarłatną piersią.

Jakkolwiek jednak szarą i pospolitą była ta drobna rzesza, żyjąca w gałęziach brzozy płaczącej, szczupłe ramię kobiety, czarnym rękawem okryte, wyciągało się ku niej często, rzucając na daszek, lub pomiędzy gałęzie, garstki okruch, czy ziarn. Lubiała snadź ptaki, a gdy po kilkogodzinnej pilnej pracy, podnosiła głowę i spoglądała na szare wróble, które, obecnością jej spłoszone, przechadzały się w poskokach po gontach daszku, i na gile, które podlatywały, pogwizdywały, lub, kołysząc się na gałęziach brzozy, jak płomyki migotały w świetle zachodu, uśmiech wesoły twarz jej oblewał i w szczególny sposób odmładzał.

Lecz więcej jeszcze, niż ptaki, lubiła ona snadź dzieci, bo często bardzo w okienku salki ukazywał się czteroletni pyzaty chłopak, ten sam, co po dziedzińcu wyprawiał głośnie harce z pstrokatym kundlem, Filonem, i ukazywała się też mniejsza znacznie od niego, zupełnie ma lutka dziewczynka, ta sama, która, na schodkach gankowych siedząc, w miłośnym uścisku tuliła często do piersi białe, żałośnie miauczące kocię.

Dzieci te, przepędzające całe dnie letnie na dziedzińcu domu, zostawały widocznie z mieszkanką salki w stosunkach ściślejszej i czulej przyjaźni. Chłopak wdrapywał się na jej okienko, opowiadał rozgłośnie liczne i nigdy niekończące się dziecięce historie; dziewczynka siadywała na jej kolanach, i z rozkoszą widoczną przyglądała się gilom i wróblom.

Wtedy, śród gwizdu i szczebiotu ptaków, rozlegały się głośnie, liczne pocałunki. W rękach kobiety ukazywały się przysmaki przeróżne, które podawała dzieciom; we włosy dziewczynki wplatała ona barwne wstążeczki, a raz, postawiwszy ją na swych kolanach, ubrała ją w ładną błękitną sukienkę, którą przez dni parę gorliwie szyła i haftowała, a która wywołała z piersi dziecka hałaśliwe krzyki radości. Radość ta cieszyła kobietę widocznie i niezmiernie, twarz jej cała śmiała się i jaśniała wyrazem i świeżością piérwszej młodości.

Niezawsze jednak w okienku tak wesoło było i gwarnie. Po zachodzie słońca nie ukazywały się tam ani ptaki, ani dzieci; jedne i drugie spały już we wnętrzu domostwa. Kobieta siedziała sama jedna, wśród ram okienka swego zawieszona, jakby pomiędzy rozłożystym wierzchołkiem brzozy a niebem, po którym nad samą, zda się, głowę jej, płynęły ostatnie światłości dzienne, puszyste, jaskrawe, szkarłatno-złote obłoki. Wtedy ciekawy wzrok zapuszczała ona w głąb ulicy, widzialnej z-za płotu i niskiej bramy, i z zajęciem wyraźnym przyglądała się najlichnieszym w tej porze przechodniom; często jednak zapominała o ulicy i patrzyła daleko, daleko, po przez dachy domostw, szare i nierówne, na widniejącą za niemi łąkę, na rozległą drogę. Wtedy ogarniała ją snadź zaduma głęboka ze wspomnień może, albo trwóg, bo drobna twarz jej, różowa zwykle, bladła pod

spadającym na nią mrokiem wieczora; a gdy tak siedziała nieruchoma, z grubą chmurą zmarszczek nad oczyma, w dal wpatrzonemi, wyglądała na istotę starą już, samotną i smutną.

Raz, w tej przedwieczorniej, mrocznej i cichej chwili, trzymała w ręku wielki liść akacyi i, obrywając zeń drobne, składające go listki, szeptała z wolna i głośno:

— Wróci? — nie wróci?

Ostatni listek wypadł z jej ręki z wyrazem: „nie wróci”. Pochyliła głowę nisko, westchnęła głęboko i szepnęła:

— Chyba, że już nie wróci!

Innym razem, w jesieni, gdy od zamiéjskiej pozółkléj łąki chłodne powiewy niosły aż ku otwartemu okienku szmaty mgły wilgotnej, a pod niebem, zamiast świetlistych, ruchliwych obłoków letnich, wisiały chmury nieruchome i deszczem nabrzmiałe, obrywała ona zwarzone zimnem listki białej astry, szepcząc:

— W głowie, w mowie, w myśli, w sercu, na kobiercu, nigdzie!

Kiedy ostatni listek wypadł z jej ręki, wraz z wyrazem „nigdzie”, obu dłońmi twarz zakryła i płakała długo, tak długo, aż na dziedzińcu ozwał się głos mężki, gniewnie wołający:

— Teosiu! Teosiu! a czemu to okna swego nie zamykasz? Czy chcesz, aby ci wiatr szyby potłukł? Niech tłucze! ja szklarzowi płacić nie będę! zapłacisz sama!

Słowom tym zawtórował z ganku małej oficyny głosik kobiecy, dźwięczny i pieszczony, lecz który teraz, bez cienia pieszczotliwego uczucia, wołał:

— Ona, Klemensie, zaziębić się chce i żebyśmy potem, jak dwa lata temu, doktora i aptekę z jej łaski płacili, sobie skąpiąc, a ją od suchot ratując!

Płacząca kobieta porwała się z miejsca i wyprostowała w okienku szczupłą swą kibić. Rozpościerając ramiona dla zamknięcia okienka, zawołała z gniewem:

— Co macie mi wiecznie wymawiać doktora tego i tę aptekę! Albowm wam jeszcze za pieniądze te nie odpracowała? Cóż to? Okna nawet w pokoju moim otworzyć nie mam prawa? Ja tu nie przybłęda jestem żadna, ale takie samo dziecko swego ojca, jak i Klemens!

Wszystko to wykrzykiwała donośnie, zaostrażającym się wciąż, swarliwym głosem, a ze stukiem zamykając okienko, dodała jeszcze, ale już dla siebie tylko, i ze śmiechem rozjątrzonego szyderstwa:

— Aha! takie same dziecko! to prawda!... czternasta część!

## II

Po raz pierwszy poznałam Teodorę Końcównę w parę dni po zamieszkaniu w domu jej brata, w domu tym z sześciu oknami, wychodzącemi na ulicę Kwietną, i małym okienkiem, wyrzniętém od strony dziedzińca, w salce, urządzonej na strychu.

W czarnej, wełnianej, lecz bardzo porządnie wyglądającej sukni, mała, szczupła, lecz zgrabna, zatrzymała się chwilę w progu i ogarnęła mnie naprzód spójrzeniem swych szafirowych oczu, trochę nieśmiałym, lecz bardziej ciekawym. Potem, zbliżając się ku mnie, rzekła, że przyszła w celu zabrania znajomości z lokatorką swego brata.

— Dawniej — dodała — za życia nieboszczyka ojca mego, powiedziała-bym, że pani jesteś lokatorką naszą... ale teraz... dom ten należy do mego brata... a ja?... cóż ja?... zwyczajnie czternasta część!

Zapytałam ją o znaczenie ostatnich wyrazów jej, niezrozumiałych mi z razu. Zapytanie to nietylko nie wydało się jej niedyskretnym, ale owszem, pochwyciła je w locie i z przyjemnością widoczną, jako punkt wyjścia dla długiego opowiadania i zwierzania się. Rozgadała się od razu. Znać było, że posiadała usposobienie gadatliwe, a zarazem otwarte, dobroduszne, ufne, i że mieszkańców domu brata swego uważała za naturalnych powierników swych, a może też i usiłowała zyskać w nich dla siebie obrońców i sprzymierzeńców.

Osóbka to była skromna i nic wcale w świecie nie znacząca, lecz, jakkolwiek dziwnym wydać się to komu może, osóbki takie, skromne i nic wcale nieznaczące, bywają często bardzo zajmującemi dla tych, którzy z zamiłowania i obowiązku badają ludzkie dusze i dole. Rzecz-by można, iż są to w świecie ludzkim owe drobniutki żyjątka, których nagiem okiem nie dostrzega ogół, lecz które przed wzrokiem spostrzegacza, uzbrojonym

w pomocnicze narzędzia widzenia, migocą, wirują, pracują, cierpią, po swojemu marzą i budują, słowem, żyją w sposób ciekawy i ze wszechzyciem tysiącznymi węzłami złączony.

— Na imię mi Teodora, ale czternasta część, to, pani droga, drugie moje imię... Pierwsze dał mi ksiądz na chrzcie świętym, drugie, nie wiem kto... pytałam się nieraz i siebie samą, i rozumnych ludzi, dlaczego byłam zawsze i jestem czternastą częścią; ale sama nie odgadłam i nikt mi tego nie wytłumaczył... Jedni mówią, że taki już obyczaj; drudzy, że takie prawo; a ja tylko myślę sobie zawsze, że to wielka niedola i że nie daj Boże człowiekowi, w naszym stanie szczególnie, urodzić się kobietą... Ojciec mój... nie znała pani ojca mego? pewno nie!... ogrodnikiem on był bardzo doskonałym i pracowitym, a i człowiekiem poczciwym, niema co mówić, bardzo poczciwym, ale srogim i... jakby to powiedzieć? serca twardego, a i ręki nie miękkiej, o! nie miękkiej wcale... Z matką nieboszczką żyli podobno w zgodzie, ale ja tego już dobrze nie pamiętam, bo miałam lat ośm, kiedy urodził się brat mój, Klemens, a wnet potem matka tak zachorowała, że z łóżka nie wstała już nigdy, aż dopiero podnieśli ją z niego ludzie, aby znowu do trumny na wieczny spoczynek włożyć. Chorowała jednak lat z dziesięć, a ja, od ośmiu lat życia swego, i gospodynią domu, i nianką małego brata byłam. Często bywało po całych nocach przy chorąg matce siedzę, a jak świt, do miasta lecieć muszę, żeby wszystkiego, czego trzeba do gospodarstwa, kupić... w deszcz ulewny, czy w mróz trzaskający... lecę, a tego tylko boję się, żeby nie zabawić długo i nie spóźnić się ze śniadaniem dla ojca, bo on codzień z rana wychodził do wielkich ogrodów, które za miastem dzierżawił i z których taki miał dochód, że plac ten kupił i dom ten zbudował wtedy, kiedy ja jeszcze w kołysce byłam. Wracam do domu, a tu matka w łóżku jęczy i narzeka, że jej wczas lekarstwa albo śniadania nie podałam; brat do szkółki, a potem i do szkoły wychodzi, przychodzić go i nakarmić trzeba; ojciec, jak w dobrym humorze, to w dobrym, ale jak w złym, to swarzy się, łaje, a czasem, ot, pani droga, zwyczajnie, jak człowiek prosty i chorowaniem żony, albo nieurodzajem w ogrodach zgryziony, i uderzy. Było mi tam wszystkiego... pracy, kłopotów, szturchańców i poniewierki różnej... ręce sobie przy kuchni parzyłam... prania doglądając, od pary i żelazek czadziałam... na wiosnę i w jesieni, robotników, w tym oto własnym ogródku, dopilnowywać musiałam; a nierzadko ojciec kazał i samą zagonik jakiego skopać, lub opleść... pieszczoty nie znałam, ani odpoczynku, ani też... pani droga... nauki! Czytać na książce do nabożeństwa nauczyła mnie matka, w łóżku leżąc... pisanie i rachowanie uczył trochę gubernator, co do brata przychodził; ale takie tam było uczucie! Ojciec, bywało, mówi: chłopca mi pan pilnuj, a dziewczyna, czy tam mądra, albo nie, to jej wszystko jedno. Była gospodynią dobrą była! To też i niczego mnie nie nauczyli, tyle tylko, że z książki do nabożeństwa pomodlić się w kościele trochę potrafię, i oczka, albo ścięgi, w robocie policzyć. Robót różnych i szycia nauczyłam się niewiedzieć jak, tak jakoś, to ztąd, to zowąd, bo miałam do tego ochotę wielką i zdolność, a zawsze chciało mi się modniarką zostać. Ale ojciec nieboszczyk mówił: po co dziewczynie rzemiosło? Za mąż pójdzie i dzieci hodować będzie! Ot, pani droga, za mąż nie poszłam jeszcze, dzieci swoich nie hoduję i rzemiosła w ręku nie mam, aby niemiem sobie na swój własny kawałek chleba zarobić.

Tu umilkła.

Mała, ruchliwa zwykle, jej osóбка, zeszywniała i znieruchomiła na chwilę, jakby zjęta wielkim nad własną dolą zdumieniem. Uderzyły mnie w mowie jej wyrazy: „Nie wyszłam jeszcze za mąż”. Więc nie utraciła dotąd nadziei, iż stać się to mogło! Po chwili zaczęła znowu:

— Z bratem, pani droga, co innego było, o! zupełnie co innego. Nie pieścił go ojciec wprawdzie, bo nie do pieszczot to był człowiek, ale dbał o niego, jak o źrenicę w oku i, jeżeli karciał, to chyba za zbytnią swawolę. Swawolnik bo był chłopiec straszny!... Kiedy ja, bywało, pracuję, haruję, i dobrego słowa od nikogo nie usłyszę; on po dniach całych, ledwie lekcyką odbywszy, bąki po ulicach zbija, z kolegami psoty różne wyprawia, a gdy przyjdzie do domu, to po to tylko, aby zjeść, wyspać się i mnie jeszcze zburzczyć, jeżeli mu w czym nie dogodzę... Uczył się bo, to prawda, że się uczył. Naprzód gubernator do niego chodził, potem i sam do gimnazjum chodzić zaczął. Ojciec okrutnie chciał, żeby gimnazjum skończył i urzędnikiem był; ale Klemens, jak doszedł do czwartej klasy, tak ani rusz! W czwartej klasie dwa lata siedział i do piątej nie puścili, a dłużej już w jednej klasie siedzieć nie pozwolili. Cóż pani droga myśli, że ojciec na to powiedział? Zgryzł

się z początku, ale potem ręką machnął: „Mniejsza o to! dla mężczyzny wszystkie drogi otworem. Urzędnikiem zostać nie może, rzemieślnikiem będzie”. Ja wtedy już dwadzieścia cztery lata miałam i, słysząc, jak ojciec to mówił, rzewnie, choć po cichu, zapłakałam sobie. „Mój ty Boże! — myślałam — a dlaczegoż przede mną wszystkie drogi zamknięte? co ze mną kiedyś będzie?” Prawda, że był to czas, w którym ja często i gorzko płakałam, i po całych nocach, bywało, pytałam siebie: „co ze mną kiedyś będzie” A płakałam ja i pytałam się tak dlatego, że wtedy-to zgasła jedyna moja przez całe życie gwiazdeczka szczęścia. Zaświeciła i... zgasła... no, może nie na zawsze, i da Bóg, że zaświeci znowu, ale długo czekać i... ciężko!

Tu spuściła oczy i żywsze jeszcze, niż zwykle, rumieńce, twarz jęj oblały; potem podnosząc na mnie spójrzenie zawstyżone, naiwne, a jednak w głębi źrenicy gorącą iskrą rozpalone, ciszej niż wprzódy, wahającym się głosem ciągnęła:

— Muszę już pani wszystko opowiedzieć... tak jakoś, od pierwszego spójrzenia, zaraz przyłgnęłam do pani. Nie słyszała pani nigdy o panu Laurentym Tyrkiewiczu? pewnie nie! Otóż... kiedy miałam dwadzieścia lat, poznaliśmy się z sobą i... i... w cztery lata potem... w tej tam altance, widzi pani? w ogródku? w tej altance z chmielu... raz wieczorem... nie bardzo wieczorem, o szarej godzinie... oświadczył mi się. Byliśmy po przyrzeczeniu... Pani droga! jaka ja byłam wtedy szczęśliwa! raz tylko w życiu!... Po dwóch tygodniach pan Laurenty wyjechał, żeby sobie lepszemu miejscu starać się, — bo to, pani, urzędnika syn i sam urzędnikiem był, — ale prędko miał wrócić i ze mną ślub wziąć... pojechał, miejsce otrzymał doskonale, ale jeszcze nie wrócił...

Znowu: jeszcze! Spodziewała się więc powrotu narzeczonego.

— Jakże dawno pan Tyrkiewicz opuścił Ongród? — zapytałam.

Wahała się chwilę z odpowiedzią. Widocznym było, że nienawiść do chronologii wszelkiej walczyła w niej z napadem bezgranicznej szczerości. Szczerość zwyciężyła.

— Pani droga! — szepnęła — na świętą Annę skończy się już od wyjazdu tego lat ośmnaście...

I wnet, zapominając o tém, że wygadała się już przed chwilą z ilością wiosen, które w szczęśliwej porze onęj liczyła sobie, dodała:

— Ja byłam wtedy taka młodziutka.

— Sądzisz więc pani, że pan Tyrkiewicz wróci jeszcze?

Spuściła znowu oczy na-pół z zawstyżeniem, na-pół ze smutkiem:

— Pewną tego nie jestem — szepnęła — ale mam nadzieję... Kiedyś — dodała — kiedyś, gdy pani opowiem wszystko, pani sama osądzi, że to tak przejść nie mogło w żaden sposób, i że on wrócić musi...

— Czy pisuje?

— Pisał do mnie z początku kilka razy, ale teraz tylko do ciotki swojej, pani Antoniowej, pisuje czasem...

I z odcieniem radosnej figlarności w spójrzeniu, szepnęła:

— Nie ożenił się!...

— Widzi pani — mówiła po chwili dalej — ja wtedy nie byłam taka, jak teraz jestem. Choć dzieciństwo w męce mi przeszło, w młodości rozkwitłam, jak róża, a dnia tego... była to niedziela... miałam na sobie białą perkalową suknię, którą sobie własnymi rękoma uszyłam i wyhaftowałam czerwoną bawełną, a włosy ubrałam w bez koralowy, którego w ogrodzie naszym moc jest wielka... Suknię tę i listki od tego bzu mam dotychczas w komodzie schowane i... jeżeli on nie wróci... poproszę, aby mi je do trumny włożyli...

Głos jęj zadrżał, w oczach mignęła łza.

— Potem, pani droga, po tej jedynej szczęśliwej godzinie, powlokło się znowu trybem swoim ciężkie moje życie... Matka umarła... ojciec zachorował... Klemens był już wtedy zecerem i w drukarni rządowej pracował tak, jak i teraz pracuje, a grosz swój już mając, po dniach i po nocach całych nieraz w domu nie bywał. Pracował on, to prawda, ale i odpoczynek, i zabawę miał. Bywało w cukierniach przesiaduje, w bilard grywa, na wieczorki chodzi i do panienek umizga się... A ja z ojcem chorym jedna... Ojciec swarliwy zawsze, w chorobie zrobił się, jak ogień... a przez oszczędność służki porządnej nigdy nie pozwolił mi wziąć, ale podlotków jakichś trzymaliśmy zawsze, tyle tylko, co do samych najgrubszych robót... Zresztą... wszystko ja... I gotuję, i piorę, i krowy i ogrodu

doglądam, i nocami przy chorym siedzę, i do apteki po lekarstwa latami, a w wieczory zimowe, długie takie...

Boże-ż mój, Boże!... dom jak grób... ojciec nikogo, prócz mnie, przy sobie nie znosi, leży i stęka, albo swarzy się i wyrzeka, a ja przy lampce osłoniętej siedzę i szyję... szyję... aż mi kark od nachylania, a palce od trzymania igły zdrętwieją, i po godzin kilka ust nie otworzę... Takie było życie moje, dopóki żył ojciec; ale sześć lat temu umarł on, i oto po śmierci jego właśnie dowiedziałam się, że mi na drugie imię czternasta część!

— Jakże to było?

— Oto tak: na kilka miesięcy przed śmiercią swoją, ojciec zaczął mi często swoją szczególną łaskę okazywać. Patrzy się, bywało, na mnie długo, długo, a ja widzę, że oczy jego robią się smutne i inne jakieś, niż zwykle bywały. Raz, kiedy Klemens z wieczorynki jakiś do domu przyszedł, ojciec swarzyć się zaczął, że nigdy w domu nie siedzi. „Ty tam hulasz sobie, a tu przy gospodarstwie i przy mnie chorym siostra zawsze jedna! Dziewczyna zamęczy się!” Tak mnie, pani droga, rozczuliły te słowa ojcowskie, że z płaczem do łóżka jego przypadła, i ręce jego całować zaczęła, i mówić, że nie jest to mi męką żadną, kiedy ojca rodzzonego doglądam. Wtedy, pani moja, ojciec mnie, pierwszy raz w życiu, za szyję objął, głowę moją do piersi swojej przycisnął, a Klemensowi powiedział: „Tylko ty mi, po śmierci mojej, siostry nie skrzywdź”. Kiedy sobie teraz tę chwilę przypominam, do oczu mi łzy idą, i z żalości, i z radości. Żal mi ojca, który, choć twardy był i srogi człowiek, wykrzyczał i wyszturczał nieraz, aleć zawsze ojcem rodzonym i kochanym mi był; ale też i raduję się, gdy pomyślę, że mu przecie mu dogodzić snadź potrafiła, kiedy w ostatnich dniach życia swego okazywał mi on takie ojcowskie serce, a przed samą śmiercią, i nic już mówić nie mogąc, rękę swą na głowie mojej z błogosławieństwem położył i, patrząc na twarz moją wynędzniałą od smutku, pracy i niespania, zapłakał. Klemens żałował też ojca, niema co powiedzieć, żałował bardzo! kiedy do trumny go kładli, jak bóbr płakał, i na grobie mu śliczny krzyż z blaszaną tablicą i pięknym napisem postawić kazał. Prędzej przecież łzy jego oschły, niż moje, i nic dziwnego! Całe Boże dnie i wieczory na mieście przepędzając, to w pracy, to w towarzystwach, rozrywki miał i nadzieje różne, których dla mnie... nie było. Jakoż w rok potem, zaledwie żalobę zdjął, już i ożenić się zamyślił. Cieszyłam się z zamysłu tego. Brata na rękę moim wyhodowałam, on mi jeden rodzonym krewnym na świecie pozostał, szczęścia jego pragnęłam. Ale, kiedy Klemens powiedział mi, z kim chce się żenić, pani droga! ledwie nie zemdlałam! Córka modniarki! rozhukana, rozbawiona, do pracy niezwykła, a kokietka! Z początku perswadować mu zaczęłam, a potem i gniewać się na niego za ten głupi wybór, który on zrobił. I miałam rację! O, zobaczy pani, jak tu dłużej pomieszka, kogo to on wziął sobie, i jaką to lałę wprowadził do rodzicielskiego naszego domu... Dość powiedzieć, że zaczęliśmy klócić się z bratem. Raz w kłótni powiedział mi on: — „Jeżeli ci kobieta, którą ja za żonę biorę, nie w guście, możesz manatki swoje zabrać i iść sobie w świat!”

We mnie, na słowa te, zawrzało wszystko. „Dobrze — mówię — pójdę, ale oddaj mi to, co mi się po rodzicach należy... połowę tego, co warte domowstwo to i całe w niem gospodarstwo”. Klemens aż zaśmiał się ze złości i krzyknął: Połowę! figa ci nie połowa ojcowskiego majątku! Kobieta jesteś, siostrą, nie bratem... czternasta część należy ci się, nie zaś połowa!” „Kłamiesz — mówię — czy to nas czternaścioro było u rodziców? Dwoje nas tylko było, i ja takie samo dziecko matki i ojca naszego jak i ty!” Klemens wciąż śmiał się. „No — rzekł — idź do ludzi i pytaj się ich, kiedy mnie nie wierzysz!” Byłam na brata gniewna i rozżalona, posłam do ludzi. Naraili mi ludzie adwokata pewnego, bardzo uczonego i uczciwego człowieka. Opowiedziałam mu rzecz całą. Wysłuchał mię i pyta: — „Czy ojciec pani zostawił rozporządzenie jakie?” Powiedziałam, jak było. Ojciec nie myślał nigdy o robieniu testamentu. Pan adwokat uśmiechał się, kiedy mu to mówiłam. „Ojciec pani — powiedział — nie znał widać prawa spadkowego, panującego u nas, albo też, jak najczęściej bywa, mniej dbał o córkę, niż o syna. Brat pani ma słusność. Jeżeli ojciec rozporządzenia żadnego nie zostawił, należy się pani czternasta część spadku po nim... i niema co o tém mówić!” Ale! niema co mówić! Ja uszom moim wierzyć nie chciałam. — „Panie drogi! — zawołałam — dlaczegoż to tak?” „Prawo jest takie” — odpowiedział. — „Panie drogi! — mówię — brat edukacją otrzymał, w szkołach był, rzemiosła korzystnego wyuczył się... a ja nic!” Pan adwokat odpowiedział mi: — „Taki to już obyczaj”. Ja znowu na to: — „Lata moje młode terałam nad choremi rodzicami i gospodarskim zachodem,

dobra i dostatku w domu przysporzyłam, kiedy on bawił się sobie, hulał, a co zapracował, to na swoje własne przyjemności używał... czemuż to zawsze i wiecznie taka pomiędzy nami różnica?" Pan adwokat odpowiedział: — „Tak to już, proszę pani, świat ustanowił”. Wróciwszy do domu, cała w łzach tonęłam. Nie za tą już połową spadku łzy mi płynęły, ale niesprawiedliwość, której doznałam, sztyletem zanurzyła mi się w sercu. Srogi żal uczułam i do ojca, i do prawa, i do obyczaju, i do całego świata. Dlaczego ojciec dbał więcej o brata, niż o mnie? dlaczego też i prawo, i obyczaj, i serce ojcowskie, i świat cały, wyznaczili mi czternastą część we wszystkim, ale to we wszystkim, i w rodzinie, i w edukacji, i w swobodzie, i w szczęściu, i w majątku? No, czternasta część, to czternasta część! niema co o tém i mówić! jak powiedział pan adwokat. Poszłam do brata i zapytałam się go, ile tam wynosi ta moja czternasta część. Powiedział, że wedle oceny majątkowej całej, zrobionej zaraz po śmierci ojca, należy mi się trzysta rubli. A kiedy mu na to śmiechem w oczy parsknęłam, i razem też wielkim płaczem się zaniosłam, zawstydzil się, czy też rozczulił i, wzięwszy mnie za rękę, rzekł: — „Jeżeli zostaniesz przy mnie, nigdy nędzy nie zaznasz. Będziesz sobie na salce mieszkać i z nami razem jadać. Od twoich zaś trzystu rubli procent ci płacić będę... siostrą mi jesteś. Żonie przykażę, żeby dobrą dla ciebie była”. Zostałam. I cóż miałam uczynić? Drogie mi ściany rodzicielskiego domu i ogródek ten, memi rękoma skopany i zasadzony, i ta altanka z chmielu, i wszystko, na co oczy moje od dzieciństwa patrzyły, i do czego serce przyrosło... Zostałam i mieszkam na salce, do stołu braterstwa siadam, w gospodarstwie im i w hodowaniu dziątek pomagam... Zdaje się, że nie źle mi być powinno... a jednak... ot, jak pani pomieszka tu dłużej, to zobaczy, co się tu u nas dzieje... Powiem pani szczerze, dwie rzeczy tylko przy życiu mnie utrzymują: dzieciaki te braterskie, które tak samo, jak kiedyś brata, na rękę moich hoduję i — nadzieja, że jeszcze zaświeci dla mnie ta gwiazdeczka szczęścia, która kiedyś zaświeciła była, i — zgasła. Ot, taką jakąś czasem pewność mam, że jeszcze zaświeci, i czekam!

Skończyła mówić i, splotłszy na kolanach drobne, spracowane ręce, patrzyła w przestrzeń nieruchomym wzrokiem. W naiwnych, bławatkowych oczach jej kręciły się łzy, ale na zwiędłych, choć kształtnych jeszcze wargach, zawisł uśmiech — objaw wytrwałej, żyjącej jeszcze w sercu nadziei; czoło jej sfałdowało się w mnóstwo zmarszczek i szczególną utworzyło sprzeczność z spadającymi na nie figlarnymi kędziorkami włosów i żywymi rumieńcami, które okrywały policzki. Twarz ta posiadała tę szczególność, że wyglądała zarazem staro i młodo. Steranie objawiało się w niej obok świeżości, gorzyc i żalność — obok nieznikłych złudzeń i nadziei, zmęczenie życiem, — obok przechowanej dotąd, dziecięcej niemal, naiwności.

Po chwili, zaczęła opowiadać mi o zajęciach swych, gustach, codziennych zwyczajach, i zapraszała mnie, abym przyszła na salkę zobaczyć ptaki jej i roboty. Chętnie przyrzekłam, że odwiedzać ją będę, i wzajem prosiłam, aby zaglądała do mnie czasem; a gdyśmy tak rozmawiały, na dziedzińcu zabrzmiał głos kobiety, dźwięczny i donośny:

— Teosiu! Teosiu!

W téjże chwili, za otwartym oknem stanęła młoda i piękna kobieta, brunetka, z ognistym, złotawym okiem, wysoka, silnie zbudowana, strojna w kapelusik z białym piórem, kosztowny, lecz trochę śmieszny, bo pióro, dla lepszego wykazania całej jego długości, postawionem było niemal pionowo, co kapeluszuwi nadawało pozór rycerskiego szyszaka.

Znałam już trochę panią Jadwigę Końcową, to też podeszła ona do okna mego i bardzo uprzejmie rzekła:

— Przepraszam panią za śmiałość moją, ale... chciałam dowiedzieć się, czy niema tu Teosi?

Zauważyłam, że, na głos i widok bratowej twarz panny Teodory drgnęła nerwowo i okryła się wyrazem złośliwego rozjątrzenia, którego wprzód w niej nie spostrzegłam.

— Jestem tu — odkrzyknęła — no, jestem! albo co?

— Idź popilnuj obiadu w kuchni, bo ja do miasta wychodzę!

— Ani myślę! — zawołała panna Teodora, rumieniąc się gorąco — mam inną robotę! Klemensowi koszulę szyć muszę. Pilnuj obiadu sama. Teraz nie pora na spacer!

Złotawe oczy Końcowej zaiskrzyły się. Zdaje się, że gdyby nie obecność moja, powiedziała-by coś ostrego. Wstydzila się jednak kłótni jawnej i, wzrokiem przebijając siostrę męża, jak sztyletem, drżącym od hamowanego gniewu głosem rzekła:

— To może choć dzieci popilnujesz... jeszcze tam na nie kipiątek w kuchni wyleją...



Teodora zerwała się z krzesła, jak sprężyną ruszona.

— Dla Boga! — krzyknęła — toś ty dzieci w kuchni zostawiła! Ani chybi, Janka mi oparzą, a Maniusię ze stołu zrzucą, jak roku zeszłego... O! Boże mój! dzieci w kuchni same...

I zapominając nawet o pożegnaniu mię, rozruminiona cała i piorunujące spójrzenia na bratową rzucając, wybiegła.

Pani Klemensowa pozostała jeszcze chwilę pod moją oknem. Do mieszkania mego wejść nie chciała.

— Jeżeli pani pozwoli, odwiedzimy ją później, razem z mężem. Teraz nie mam czasu. Iść muszę po sprawunki różne z siostrą, która na mnie czeka; nie dla siebie kupować będę, o! nie! ja nigdy dla siebie nic nie kupuję! alboż my możemy, w stanie naszym, wydatki jakie robić? Ale matka moja zajmuje się szyciem sukien i strojów damskich, a my z siostrą kupujemy jej zawsze fasony wszystkie i dodatki: pióra, kwiaty, wstążki. Trzeba-ż matce dopomódz! Czy pani tu, w Ongrodzie, suknią tę kupowała? Śliczna materya...

Suknie wszelkie zajmowały ją widocznie, ale zajmowało ją też i co innego jeszcze. W bramie dziedzińca znajdująca się fórtka otwartą była na oścież, za nią rozległy się parę razy męskie kroki przechodniów. Za każdym razem Końcowa oglądała się żywo, machinalnie poprawiała na sobie jedwabną zarzutkę, a oczy jej nabierały gorętszego połysku. Zalotność uderzała w kobiecie tej od pierwszego na nią spójrzenia. Znać też w niej było pewien przebiegły i chytry sprycik, a także ostrość usposobień, osłoniętą słodyczą, na którą się siliła. Piękne, ponsowe, wydatne jej wargi, drgały od chwili do chwili nerwowymi uśmieszkami, to znowu układały się w zarys pełen goryczy. Rzucalo to na fizyognomię jej wyraz męczącego i chorobliwego niepokoju.

Jakoż, w pierwszej już tej dłuższej rozmowie ze mną, skarżyła się, że pracy w domu ma bardzo wiele i że dotąd jeszcze przyzwyczać się do niej nie może. U matki swjej pracy nie miała żadnej prawie, i przed zamążpójściem bawiła się doskonale. Teraz mąż... dzieci... gospodarstwo... niepodobna już myśleć o własnych przyjemnościach, i jakkolwiek ciężko to trochę tak żyć po mieszczańsku, cóż jednak robić? Kto już raz z kamieniem u szyi w wodę rzucił się, ten tonąć musi!

Ręce jej jednak, dość białe i delikatne, nie nosiły na sobie zbyt widocznych śladów pracy, o której mówiła, a strój kosztowny i pretensjonalny, zdradzał owszem bardzo pilną myśl o przyjemnościach własnych.

Z rozmowy tej wyniosłam przekonanie, iż Jadwiga Końcowa uważała się za ofiarę niesłusownego ze wszech miar zamążpójścia, i że, wszechwzględnie czując się niezadowoloną, siostry męża szczególnie nienawidziła głęboko i namiętnie. Widać to było z ostrych blasków, które przy wzmiankach o niej rzucały jej oczy, i z kilku słów, które wymówiła.

— Czy uwierzy pani temu, iż Teosia myśli jeszcze, iż jest młodą i ładną... Miała kiedyś narzeczonego jakiegoś... różnie ludzie mówili o tém... porzucił ją, a ona wciąż myśli, że wróci jeszcze do niej... chyba-by rozum postradał!...

Zaledwie pani Klemensowa wyszła za bramę, pod okno moje przybiegła panna Teodora.

— A co? — szeptała — widziała pani, jaka wystrojona! czy to na nasz stan? ale Klemens przepada za nią i oddaje jej na stroje połowę swego zarobku i dochodu z domu. Ale nie dość tego! I siostrzyczkę swoją jeszcze za jego pieniądze stroi, a mnie szklanki herbaty i kawałka bułki żałuje... Poszła dla matki sprawunki robić? O! już co za matką i siostrą swoją, to prawda, że przepada, i wszystko-by im z domu męzowskiego oddała. Będą z siostrunią za sprawunkami latać i ludziom na oczy nawijać się. Ręczę, że tam gdzieś oczekuje na nie Ernest Robek, ten metr tańców, co tu obok mieszka, i że razem spacerować będą... Ten Ernest Robek, młokos, frant, niby to do siostry jej, Helki, umizga się, ale to parawanik tylko, a w samą rzecz...

Tu śpiesznie bardzo odbiegła od okna, i malutką dziewczynkę w błękitnej sukience zniósłszy ze wschodów gankowych, poniosła ją do ogródka. W ogródku usiadła wśród zagonów, usianych warzywem, i poczęła rwać sałatę; pomiędzy gęstymi makami siedziała mała Manusia, z drugiej strony starszy o parę lat, Janek, budował na ścieżce domek z piasku i kamyczków; wkrótce przywłókł się do ogrodu wielki kundel pstrokaty, małe białe kocię wysunęło się z pośród zieleni, i para gilów, siedzących dotąd na gałęzi brzozy,

pod ścianą domu rosnącej, wleciało do ogródka i usiadło na szerokim krzewie koralowego bzu.

Długo potem, w cieniu krzewu tego, słychać było dźwięczny głosik panny Teodory, wciąż o czémś prawiącej dzieciom, szczebiot dwojga dzieci, głośne pocałunki, miauczenie kotka, wesołe poszczekiwanie psa, i zawzięte gwizdanie gilów, kąpiących w słońcu szkarłatne swe pierze...

Ładnie i wesoło było wtedy w ogródku, ale całkiem inne sceny rozegrały się w rodzinie Końców za raz następnego wieczora.

Widziałam przez okno, jak o zmroku panna Teodora, znalazłszy brata samego na dziedzińcu, długo mu o czémś szeptała, a on słuchał jęj nieruchomy, stroskany, w ziemię pośępnie wpatrzony, i grubą, ciemną ręką, targał bujnego rudego wąsa. Potem, gdy wszystko uciszyło się na dworze, w oficynce, w której mieszkali Końcowie, wybuchła wrzawa dwóch głosów. Mężki głos był basowy, gruby, porywczy; kobiecy zanosił się przeraźliwie i wpał w piskliwe tony.

Była to zawzięta kłótnia małżeńska, w której jednak ostatnie słowo otrzymała kobieta, bo głos mężki miękł stopniowo, łagodniał, odzywał się coraz rzadziej, aż z łajania i wyrzutów przeszedł wyraźnie w prośby, czy przeprosiny. Potem w oficynie uciszyło się wszystko, a pan Klemens biegł śpiesznie na salkę, w której mieszkała siostra jego; zabałił tam krótko, lecz, gdy wyszedł, nad sufitem pokoju, w którym siedziałam, rozległ się głośny płacz panny Teodory.

Nazajutrz, gdy wychodząc z domu, spotkałam ją na dziedzińcu, oczy miała zabrzękłe od płaczu i z cicha skarżyć mi się zaczęła:

— Widzi pani! tak to zawsze! czyj grzech, a moja pokuta. Ostrzegłam go wczoraj, co do tych spacerów jęj, i co do tego Robka. Z razu rozgniewał się na nią, a mnie dziękował, bo strasznie jest zazdrosny; ale potem, gdy z nią porozmawiał, tak mu się wyklamała, tak go sobie ujęła, że przyleciał do mnie, jak szalony, i złał za to, że to niby plotki na żonę jego robię i potwarze rzucam... I tak bywa zawsze...

Uczyniłam jęj uwagę, że lepiej-by może było, żeby przestała całkiem wdawać się w sprawy małżeńskie i zwracać uwagę brata na postępowanie żony. Zarumieniła się gorąco i zawołała:

— Niedoczekanie jęj, żebym ja na grzechy jęj patrzała i milczała. Obchodzi mię przecież honor i spokój brata rodzonego; ale, gdyby i nie to, czy ona mnie mało zawsze nakrzywdzi? Wyśmiewa mnie przed kim może, ogaduje: to, że z panem Laurentym romans miała, to, że on mnie porzucił, to, że stara i brzydka... A skąpi mi wszystkiego, zamyka przede mną w domu wszystko, jak przed złodziejem... nieraz to i umyślnie wleje mi wody do rosółu, albo herbatę czém brudnym zmaci i, kiedy jeść, albo pić nie mogę, w żywe oczy mi mówi, żebym darowanemu koniowi w zęby nie patrzała, że na łasce u nich siedzę, to wszystko mi dobrém być powinno... Bratu krzywdę moję przebaczyłam, ale jęj... przebaczyć i pobłażyć! nigdy! Cudza mi jest! do naszego domu przybłęda! Wysłała za Klemensa dlatego, żeby dostatek mieć, a teraz obdziera go i oszukuje!...

Chcieć pogodzić dwie te kobiety, zmuszone jednak wciąż żyć razem, było-by tém samém, co chcieć pogodzić wodę z ogniem. Nienawidziły się. Zkąd pochodziła nienawiść ta? ze sprzeczności może dwóch natur, całkiem odmiennych, a koniecznością do jednego miejsca przykutych, z drobiazgów codziennego życia, z niczego i ze wszystkiego.

Wynikały ztąd nędze moralne, drobniotkie, ale nieustanne i których ciężar główny spadał na tę, co w sercu gospodarza i pana domu, zajmowała miejsce mniejsze.

Pani Klemensowa, młoda, piękna, ze swą wspaniałą kibicią i ognistém, zalotném okiem, znosiła niekiedy grubiańskie napady zazdrości, lub skąpstwa męża; ale w gruncie panowała nad nim wszechwładnie, i ze wszystkich starć i zajęć rodzinnych wychodziła zawsze zwycięzko. Wyrzuty, łajania, upokorzenia i prywacye wszech rodzajów, dostawały się w udziale małęj tęg istotce, o różowej twarzy i gęsto zbrudżoném czole, która, samotnie na salce swęj siedząc i cierpiąc srodze, z wytrwałością niezmordowaną marzyła o lepszej przyszłości.

### III

Codziennie z rana, przez okna mieszkania mego, widywałam Klemensa Końca, krzątającego się około zagrody swój czynnie i gorliwie. Wysoki, barczysty, z rudawym włosiem i twarzą, jak u siostry, okrągłą i rumianą, o świcie już wychodził na dziedziniec, dopatrywał sam pięknej i tłustej krowy, stojącej w obórce, kopał w ogrodzie zagony, lub przesadzał krzewy, nierzadko drzewo rąbał, albo z siekierą i motyką w ręku coś około plotów i zabudowań poprawiał. Wszystko to czynił z powagą i przyjemnością widoczną; a gdy, wnet po wschodzie słońca, z ganku, lub otwartego okna oficynki, rozlegał się głos pani Jadwigi, wołającej go na śniadanie, podnosił znad roboty swój twarz, oblaną często potem zmęczenia, lecz i zadowoleniem rozjaśnioną, i starannie złożywszy w małym składziku narzędzia gospodarskie, śpiesznym, szerokim krokiem, szedł ku mieszkaniu swemu.

Wtedy, we wnętrzu oficynki rozlegał się brzęk naczyń stołowych, odzywać się zaczynały głosiki obudzonych dzieci, ranny czepeczek pani Jadwigi, śnieżnie biały zawsze, migotał za otwartymi oknami, i widać było Klemensa Końca, siedzącego przy błyszczącym, jak złoto, samowarze, i trzymającego na kolanach syna, lub córkę. Ramionami, ubranymi w rękawy białej koszuli, czule ogarniał on dziecko, pochylał wielką rumianą twarz swą ku małej jego twarzyczce, i zaglądał mu figlarnie w oczy; czasem też z dużego fajansowego spodka wlewał herbatę, lub mléko, w otwarte po ptaszęcemu dziecięce usta.

W rannéj téj porze dnia, znać w nim było poważnego gospodarza domu i szczęśliwego ojca rodziny; ale, gdy po skończeniu śniadania wychodził na miasto, do drukarni rządowej, w której od lat już wielu, jako piérwszy zecer, pracował, wyglądał znowu wcale inaczej. W czarném i czystém zawsze odzieniu, w staroświeckim, ale starannie oczyszczonym, cylindrze na głowie, gdy ranek chłodny był, w dostatnim paltocie, miał on pozór zamożnego obywatela miasta, dbającego wielce o porządne pozory, i do mody już trochę zastosować się umiejącego, i osobistą godność swą ceniącego wysoce. Krok jego, poważny zwykle, na ulicy stawał się jeszcze poważniejszym, a szafirowe, tak jak u siostry, oczy, patrzyły z pod niskiego czoła z wyrazem roztropności pewnej i doskonałego spokoju. Gruby w objęciu się i grubość tę zmieniający na łagodne uśmiechy i czule spójżenia wtedy tylko, gdy pieścił dzieci swe i do nich przemawiał, Klemens Koniec nie zupełnie obcym był wszystkiemu, co nazwać można światłem umysłowém. Ukończone cztery klasy gimnazjalne pozostawiły mu w głowie ślady wiadomości pewnych, na-pół zatarte wprawdzie późniejszym odlogowaniem umysłu, ale niedopuszczające już obskurantyzmu zupełnego. Książek nie czytywał nigdy i otwarcie przyznawał się do tego.

— Książki — mówił nieraz — rzecz to dla mnie za mądra i za długa. Ile tylko razy brałem je do ręki, tyle razy, po przeczytaniu dwóch stron, albo zasnąłem, albo zacząłem myśleć o czém inném. Gazety, to co innego; prędko człowiek je może przeczytać, łatwo zrozumieć i dowiedzieć się z nich o wszystkiém, co się dzieje na świecie. — Parę téż razy na tydzień, wracając z drukarni, zachodził do cukierni i czytywał gazetę. Obchodziły go téż żywo sprawy miejskie, lubił rozprawiać o niedołężności burmistrza, o niewłaściwości przyjętego w Ongrodzie systemu opodatkowania, o różnych niezaspokojonych potrzebach miasta; a najgorętszém marzeniem jego i szczytem ambicyi było: zostać urzędnikiem magistratu, radcą, zasiadającym obok burmistrza i wotującym za, lub przeciw wybrukowaniu Kwietnej ulicy, za, lub przeciw zapaleniu na téjże ulicy jednej latarni więcej. W domu, pomimo zamiłowania do polityki i różnych bieżących wiadomości, które bawiły go niezmiernie, dziennika żadnego nie miał. W mieszkaniu Końców, oprócz dwóch książek do nabożeństwa, leżących w bawialnym pokoju na komodzie, pomiędzy dwoma posrebrzanymi lichtarzami i szkatułką, zdobną w konchy, ani jednej litery drukowanej znaleźć nie było można.

Prostota i staroświecki, mieszczkański obyczaj, cechowały mieszkanie Końców. Składało się ono z niewielkiej bawialni, jasno oświetlonej dwoma weneckimi oknami, na zielony ogródek wychodzącemi, z obszernéj sypialni i czystej, widnej kuchni. Główną ozdobą bawialni była owa komoda, opatrzona w szkatułkę, wyklejoną konchami i srebrzyste lichtarze, a także u okien firanki siatkowe, misterne i pracowite dzieło rąk panny Teodory. Zresztą, proste jesionowe sprzęty zólciały tam wśród ścian, umalowanych w szafirowe wieńce i esy, i jedynemi przedmiotami, zakrawającemi na zbytek, a przez panią

Jadwigę tu wprowadzonymi, były: lustерko w złożonych ramach, nad komodą wiszące, i spora lampa, stojąca na stole przed żółtą kanapą. Kiedy do pokoju tego weszłam po raz pierwszy z panną Teodorą, wskazywać mi ona zaczęła firanki, serwetę stół okrywającą, patarałki pod lichtarzami, i mnóstwo innych drobnostek, z włóczki i bawełny wyrobionych.

— Wszystko to mojej roboty — szeptała — z duszy i serca chciała-bym zrobić przyjemność jaką bratu, mieszkanie jego przyozdobić, zasłużyć się mu i serce jego dla siebie ująć... Nocami całami pracuję czasem, sukienki sobie nie kupię, aby mu tylko siupryzę jakąś zrobić...

W sypialni znać było także pracowitą i uslužną jej rękę. Tam także znajdowało się mnóstwo drobnostek, bądź do gospodarskiego użytku, bądź do ozdoby przeznaczonych, a przez nią starannie i dość ładnie wykonanych. Łóżeczka dziecinne okryte były bielizną, przez nią wyhaftowaną, a przy nich stało po kilka par malutkich różnobarwnych bucików. Tu szerokie okno wychodziło już nie na ogródek Końców, ale na spory ogród warzywny, za którym znajdowało się mieszkanie metra tańców. Pod tém oknem, z robotą w rękę, lub i bez roboty, lubiła najlepiej przesiadywać pani Jadwiga.

Za ogrodem warzywnym widać było okna Ernesta Robka, które w ciche letnie wieczory otwierały się na oścież, i dając niby sygnały jakieś, powiewały białemi sztorami.

W jesieni i zimie mieszkanie metra tańców jaśniało od zapalonych w niém świateł, nad pustemi zagonami unosiły się dźwięki skrzypiec i fortepianu a u weneckiego okna sypialni piękna żona pana Klemensa, stała z czołem przyciśniętém do szyby, z twarzą rozpaloną, oczyma wpatrzonemi w okna, błyskające z za mgły deszczowej lub śnieżnej, z piersią, pełną buntu i westchnień. Cała istota jej wyrывała się z cichych tych, ciasnych pokoików, do owej sali tańców, dusznej, gorącej, pełnej kurzu, lecz pełnej téż i ludzi, muzyki, śmiechów i szeptów. Czasem, w chwilach owych, przez dziedziniec przebiegła szybko i do sypialni wsuwała się wysmukła, zgrabna postać kobieca, klękała przed zamysłoną i lży swe polykającą kobietą, a obejmując kibić jej i palcem wskazując oświetlone za ogrodem okna, z gorącą prośbą szeptała:

— Jadziu! pójdźmy tam! pójdźmy tam!

Końcowa załamywała ręce.

— Lękam się... Klemens nadejść może...

— Nie nadejdzie z pewnością i nie dowie się.

— A! nie dowie się! prawda? a *taż*... donosicielka przebrzydła, co tam na górze siedzi!...

— Nie powie może?

— Ona-by powiedzieć nie miała!

— Poprosić ją trzeba!

— Ja! prosić ją! za nic!

Zgrabna, wysmukła dziewczyna całowała ją po rękach.

— Jadziu! zlituj się! kiedy dziś tam ze mną nie pójdiesz, ja zachoruję! umrę!

Na te słowa pani Jadwiga zrywała się, zapalała świece i obie stroić się zaczynały, a raczej żona pana Klemensa stroiła siostrę, a zapominając prawie o sobie, wciąż przyglądała się pięknej, złotookiiej i czarnowłosej, jak ona, dziewczynie, obejmowała kibić jej, całowała w czoło i oczy, śmiała się i wyglądała na kobietę, zupełnie szczęśliwą.

— Moja ty Helenko najmilsza, — mówiła, upinając starannie na kształtnych ramionach dziewczyny wydobytą z szuflady pelerynkę, — moja ty siostruniu! żebym ja cię przy sobie ciągle mieć mogła, tobym już niczego więcej nie chciała... Aha! — dodała, — żeby nie ta! mieszkaly-byście z matką obie u nas na salce... wspominałam już o tém Klemensowi, ale on odpowiedział: „siostry nie wypędzę z domu! Pierwsza tu moja siostra, niż twoja”. O! ta gadzina! przez nią wy musicie w tym okropnym zaułku i tak daleko ode mnie mieszkać! A żebyśmy się tu wszystkie trzy razem zebrały, i Klemens musiał-by zaraz śpiewać inaczej!...

— Jadziu! — figlarnie szepnęła dziewczyna, — a żeby ona sobie za mąż poszła! Trzeba-by ją chyba komu wyswatać!...

— Ona za mąż! ją wyswatać! chyba dziadowi z pod kościoła, temu, co to z tym czerwonym nosem pod Farą zawsze siedzi i o Samsonie śpiewa...

Wybuchnęły obie głośnym, serdecznym śmiechem.

— Nie, — wołała Helka, — ja dla niej lepszą partycją znalazłam. Wyswatam ją naszemu kulawemu stróżowi... owdowiał niedawno... mówią, że po pijanemu żonkę zatłukł...

— Jój-by i kulawy stróż już nie chciał, stara taka i straszna... Czy uważałaś, jakie u niej czoło zmarszczone, jak u sześćdziesięcio-letniej baby, a loczki sobie zawija młodziuteńkie... przytém i te jój rumieńce nieznośne, pewno różuje się...

— Burakiem! — śmiejąc się, dodała Helka.

A gdy tak, dumne młodością i pięknnością swą, przed malém lusterkiem włosy sobie trefiac i kokardki do sukien przypinając, żartowały z kobiety podstarzałej i samotnej, ona, przybyła przed chwilą dla uspienia dzieci i uporządkowania naczyń kuchennych, w kątku ciemnej kuchni siedząc, rozmowy ich słuchała. Siedziała i słuchała, dopóki nie zgasiły świec i nie wymknęły się z domu cichuteńko i ostrożnie. Wtedy wchodziła do sypialni, z gorętszemi niż zwykle rumieńcami na twarzy, z ustami drżącemi, zapalała lampę, rozbierała i kładła do kołyski napół już uspioną dziewczynkę, a chłopcu rozkazywała przy sobie odmawiać pacierze. Potém szła do kuchni, z pomocą służącej czyściła i porządkowała wszystko, nastawiała samowar, aby gotów był w razie wcześniejszego, niż zwykle, powrotu brata, i resztę wieczoru spędzała nad szyciem bielizny lub sukien. Siedząc pomiędzy kołyską a malém dziecinném łódeczkiem i pilnie pracując, często spojrzenia rzucała na dzieci, i czujna na każde ich poruszenie, obudzone usypiała znowu kilku pieścizłowymi słowy, albo piosnką, wynuconą głosem przyciszonym i smutnym.

Najczęściej pani Jadwiga i siostra jój wracały z sali tańca przed powrotem gospodarza domu, a najmniejszej z pozoru nie zwracając uwagi na pracującą i czuwającą przy dzieciach kobietę, zdejmowały pośpiesznie stroje swe, i głośno, wesoło rozmawiały z sobą o doznanych przyjemnościach i widzianych osobach.

Głównym celem tych rozmów i tój wesołości było rozbudzenie zazdrości i żalu w sercu tój, o której myślały, że zadowolén podobnych doświadczac już nie może. Ona rozumiała złośliwe intencje te i mściła się na swój sposób, opowiadając bratu zaraz nazajutrz o wczorajszej wycieczce jego żony. Niestety! po krótkiej utarczce z mężem, pani Jadwiga zażegnwała burzę czulém słówkiem jakimś, pokorną minką lub zalotną pieścizłką, a grad wyrzutów i łajań spadał z ust pana Klemensa na głowę jego siostry. Pani Jadwiga nie łajała jój głośno nigdy, lecz, widząc ją w chwilach owych zupełnie już bezbronną, z cicha, ale nielitościwie z niej szydziła.

— A co? Teosiu, — zapytywała z nerwowym uśmieszkiem swym, — czy nie miałaś czasem listu od pana Laurentego?

Albo tóż, przymrużając swoje śliczne, błyszczące oczy, i przypatrując się jój pilnie, mówiła:

— Ach! moja Teosiu! jakże ty siwiejesz! Pan Laurenty, jak wróci, nie pozna cię z pewnością!

Innym razem dawała jój herbatę bez cukru i kluczyk od cukierniczki chowała do kieszeni, albo rozkazującym tonem mówiła jój, aby szła do kuchni i potrawę jaką sporządzała, lub rozniecała ogień.

— Ja tego nie umiem, — dodawała lekceważącym tonem, a tyś to całe życie robiła... możesz tэмbardziej robić i teraz.

Potém szeptała mężowi:

— Mój drogi! żeby to mamę i Helcę na salkę do nas sprowadzić... jaka-bym ja była szczęśliwa!...

Białą i wypieczoną, choć dużą i niezbyt zgrabną ręką, głaskała go po niskiem czole i z figlarnym śmiechem wołała:

— A jakbym cię kochała! strach!

Salka, ów przedmiot pożądania pani Jadwigi i namiętnie przez nią kochanej jój siostry, była pokoikiem niewielkim, lecz widnym, ciepłym i wesołym.

Panna Teodora zrobiła z niej prawdziwą altanę, zieloną i pełną świergotu ptaków. Zarody dobrego smaku i skryta poetyczność samotnego i sponiewieranego serca objawiały się w gęstych zwojach bluszczu, oplatających ze wszec stron ściany śnieżnie białe, w kwitnących gdzieniegdzie roślinach, skromnych, lecz starannie pielęgowanych, w skrupulatnej czystości i doskonałym ładzie ubogich sprzęcików.

Kiedy ją piérwszy raz odwiedziłam, otwierała przede mną z kolei kuferek swój i szufłady sporęj komody, z cechującą ją zwykle otwartością i wielomównością ukazując mi,

jak mówiła: „całe dobro swoje“. Majętność to była szczególnej natury: składały ją przeróżnego rodzaju lachmanki, znoszone stare suknie, okrawki płócien i materyi różnych, szmatki wstążek, spłowiałych i podartych haftów.

Było też tam mnóstwo robót ręcznych, pokończonych i pozaczynanych. Szyła czasem suknie dla dawnych znajomych swych, haftowała też ładnie, wyrabiała różne szydełkowe koroneczki i podstawki, a za otrzymany ztąd skromny wielce zarobek czyniła przysługi różne bratu i stroiła jego dzieci. Dla siebie potrzebowała niezmiernie mało. Czarna jej codzienna suknia trwała długie lata.

— Co mi tam! — mawiała, — dla kogo ja stroić się będę? Ten, któremu pragnęła-bym wydać się piękną, daleko... daleko... a oprócz niego, nie obchodzi mię świat cały!

Pan Klemens ze skargą i podziwem rzekł raz do mnie:

— Czy pani myśli, że Teosia nie mogła-by dziesięć razy wyjść za mąż, gdyby tylko chciała? Przystojną była dziewczyną, pracowitą i z poczciwego rodu, to też niejedna jej partyta zdarzała się wcale niezła. Chciał się z nią żenić organista farny, człek przystojny i utalentowany, a niedawnie jeszcze, jak pięć lat temu, kolega mój jeden, zecer, zamożny, stateczny i zdolny, bywał u mnie, bywał, aż rzekł: „panie Klemensie, daj mi siostrę swoją za żonę! co się ma tak poniewierać! podoba mi się! żal mi jej!” Cóż pani myśli? nie chciała. Uparła się jak kozieł, nie i nie! Com się nad nią namordował. Za nic! Odkąd się w Tyrkiewiczzu zakochała, na nikogo ani spojrziała nigdy. Czy to nie głupota, proszę pani, i nie ostateczne dziwactwo!

Ona sama potwierdziła to opowiadanie brata.

— Zdarzali się ludzie różni, — mówiła, — i porządni, ale... nie mogłam! Z początku myślałam sobie zawsze: dobrze! pójdę już, pójdę! kącik własny przynajmniej będę miała, bratu ciężarem przestanę być, bratowej z oczu zejść, a może... może też mię Pan Bóg i własnym dzieckiem, aniołkiem jakim, obdarzy... Ale gdy tylko przychodziło do stanowczego słowa, wnet, jakby na zakłęcie, pan Laurenty przed oczyma mi stawał... widzę go, bywało... twarz jego, oczy, uśmiech, jakby żywy stoi przede mną, i taki mię żal, i taka mię tęsknota za nim zdejmuję, że zdaje się, ot już zaraz serce rozedrze się na dwoje... We snach wtedy widywałam go każdej nocy... a raz, gdy już, już miałam przyrzec temu tam organiście, przysnił się mi w strasznym niby gniewie i w desperacyi, wyciągnął rękę i takim strasznym głosem krzyknął: „zdrajczynie!” że ze wstydu i żalości aż obudziłam się! Wię pani, że choć nie po różach ja tu chodzę i nie same karmelki zjadam, wcale a wcale nie żałuję, żem wszystkim im dawała harbuza... Gdybym była wyszła za mąż, a Laurenty powrócił, utopiła-bym się z pewnością... Co to jest, pani droga, kiedy człowiek cztery całe lata kocha kogoś duszą i sercem, a potem oczy za nim wypłacze i serce wyteścni... czy może już zapomnieć i wszelką nadzieję utracić... Ależ i on mnie kochał prawdziwie i ogniście... czy to ja nie pamiętam? wszystko pamiętam... Tam, w altance, klęczał przede mną, w ręce mię całował i szeptal: „ja ciebie, Teosiu, kocham nad życie i szczęście, i niech mnie Bóg skarże, jeżeli kiedy kochać cię przestanę!” Przyznam się pani, jak na spowiedzi...

Tu urwała i zarumieniła się gorąco. Ze spuszczonego oczyma, i głosem drżącym od wstydu i łez powstrzymywanych, dokończyła:

— Pocałował mię wtedy...

Podniosła głowę i, z osłupiałym wzrokiem w naiwnych oczach, wymówiła:

— I to wszystko miało-by się tak skończyć? I on miał-by mię, jak ludzie mówią, na zawsze porzucić? nigdy w to nie wierzę! Pojechał, bo musiał; nie wraca dotąd, bo nie może; ale jak będzie mógł... wróci. Wtedy to, pani droga, ja przed Bogiem na twarz padnę i całe serce moje w dziękowaniu mu roztopię, a ludziom w oczy śmiechem parsknę i powiem: a co? kto miał racją? czy ten, kto wierzył i czekał, czy ten, kto nie wierzył i cudzą wiarę wysmiewał?

Wszystko to mówiła mi, siedząc na ziemi, obok wysuniętej szuflady, pełnej starych jakichś sukien, okrywek i robótek. Ostrożnie, z obawą nadwężenia lub zgniecenia szmatek tych, zapuściła ręce wgłąb szuflady i wydobyła z niej białą, perkalową suknię, zdobną w hafty z ponsowej bawełny. Rozłożyła ją przede mną. Perkal był żółtkły i ponsowe szlaki spłowiałe, ale ona wpatrywała się w tę pamiątkę jedynej szczęśliwej chwili swego życia gorąco rozbłyśniętym okiem.

— I to wszystko tak-by przejść i na zawsze już skończyć się mogło? — szeptęła.

Bywały jednak chwile, w których opuszczała pannę Teodorę nad podziw wytrwała wiara jęj i nadzieja. Zdarzało się to wtedy, gdy ciotka pana Laurentego, stara, przygarbiona kobietka, z kapitaliku żyjąca i w sąsiednim zaułku mieszkająca, przez kilka miesięcy lub dłużej listu od siostrzeńca nie otrzymywała. Wtedy panna Teodora codziennie, zarzuciwszy na głowę dużą chustkę, biegła na zaułek po wiadomości zapewne, a wracała ztamtąd krokiem powolnym, z oczyma utkwionemi w ziemię. W porach owych, świeże zwykle rumieńce jęj bladły i przygasały oczy, a w zmartwiałej i zestarzałej twarzy tęg znać było mękę wewnętrzną, znoszoną cicho czasem, a czasem burzliwie..

Chwilami opanowywały ją wtedy rozjątrzenie, całkiem jęj niezwykle, i gorączkowa nerwowa ruchliwość. Czynna niby ustawicznie, biegła po domu i dziedzińcu, nic nie czyniąc. Wszystko jęj z rąk wypadało. Zuchwale i porywczo odzywała się do brata, na dokuczania bratowej odpowiadała krzykiem i ostremi słowy, chwytając się czasem za głowę, jakby uczuwając w niej ból nagły, a wróciwszy do salki swęj, zalana łzami, upadała na łóżko, o nakarmieniu gilów swych zapominając nawet. Potem stawała się znowu cichą, łagodną, obojętną dla wszystkiego i wszystkich. Szyla pilnie, w kuchni nad praniem i gotowaniem pracowała, a docinki i żarciki pani Jadwigi puszczała mimo uszu, jakby nie słyszała ich wcale.

— Cóż robić? — mówiła mi, kiedy raz przyszła do niej na salkę, — cóż robić? nie wróci, to nie wróci! niech Bóg mu przebaczy i da mu wszystko dobre. Ja tak już do końca mego życia przeżyję w salce tęg, z ptakami memi i... z robotą. Umrę przynajmniej w tym kochanym domu rodzicielskim, dobrej doli nie zaznawszy, ale i tułaczki po świecie nie doświadczywszy, a brata, choć skrzywdził on mię i krzywdzi ciągle, błogosławiąc. Boć to brat mój rodzony i jedyny, a dzieci jego rączętami swemi kiedyś mi powieki do snu wiekuistego zawrą.

I pieściła, i stroiła, na rękach huštała dzieci te, i czuwała nad nimi, w dwójnasób zda się kochając je w porach tych zwątpienia i cichęj rozpaczy.

Byle co przecież rozwiewało zwątpienia te i rozpacz przemieniało w odrodzoną na nowo nadzieję. Wpadała do mnie w wielkiej chustce na głowie, prosto z zaułka wracając, i z namiętą radością szeptała:

— Jest list! jest! wczoraj go pani Antoniowa otrzymała i do przeczytania dała. Na własne oczy czytałam: „pannie Teodorze Końcównie rączki całuję i proszę, żeby o dawnym przyjacielu nie zapomniała”. A co? widzi pani? prosi, żeby nie zapomniała o nim; a pocóż-by mu pamięć moja, gdyby o niczém już nie myślał.

Innym razem, wróciwszy z tajemniczej jakiejś wycieczki na miasto, zwierzała mi się poufnie:

— U kabalarki byłam; ona tam na ulicy Nadniemeńskiej mieszka, i wszyscy mówią, że doskonale zgaduje i przepowiada... kładła mi kabałę... i powiedziała, że ktoś wybiera się do mnie w podróż, że ludzie zazdrościć mi będą, taka będę szczęśliwa!

Oczy jęj błyszcząły, jak dwa szafiry pod promieniami słońca; śmiała się i wołała:

— Spodziewam się, że nie jeden pozazdrości mi szczęścia i takiego wiernego kochania...

Ze wszystkiego, co istniało w naturze, ciągnęła sobie dobre lub złe wróżby. Pająk, ujrany z rana, martwił ją, a wieczorem cieszył. W gronach bżowego kwiecia szukała pilnie pięciolistnych kwiatków; o znaczenie snów swoich zapytywała sennika, podartęj i wytartęj księżczyny, leżącęj na komódce obok „Złotego Ołtarzyka”. Jakkolwiek wszystkie wróżby otrzymane i doświadczone z tąd uczucia w tajemnicy zachowywała, nie ukrywały się one przed nienawistnie śledzącą panią Jadwigą i żywą, figlarną, Helką, która całém sercem dzieliła uczucia siostry. Był to dla rodziny całej nieprzebrany przedmiot do żartów i śmiechów, w których pan Klemens, uradowany wesołością żony, rozweselony figlarnemi minkami Helki, a przytém czujący całą swą umysłową wyższość nad siostrą, żywy brał udział.

Przy stole zapytywano ją, o której dziś godzinie zobaczyła pajaka, albo czy śniły się jęj ryby, na wędkę ułowione, niechybna przepowiednia ułowienia pięknego kawalera. W oficynie rozlegał się gruby śmiech pana Klemensa i podniesione cienkie głosiki dwóch młodych kobiet. Panna Teodora zrywała się od stołu zarumieniona, ze łzami w oczach, uciekała do salki swęj i bez obiadu już zostawała. W kilka godzin potem pan Klemens, ze zwykłą sobie powagą i grubością obejścia się, mówił:

— Głupia jesteś i gniewasz się jeszcze, kiedy ci to ludzie mówią. Nie wierz w głupstwa, to i nikt z ciebie śmiać się nie będzie!

Co prawda, panu Klemensowi zdarzało się też wierzyć w głupstwa... tylko w inne. Druk był u niego rzeczą świętą i niezaprzeczną, a że czytywał gazety, wszystkie kaczki i bąki dziennikarskie budziły w nim wiarę nieograniczoną. Przymiętym, mnóstwa rzeczy wyczytanych albo zasłyszanych nie rozumiał, przeinaczał je na swój sposób, a wróciwszy do domu, opowiadał nieraz o węzłach, czarujących oczyma każdego, na kogo spojrzą; o roślinach, porywających człowieka i zjadających go żywcem; o miastach podmorskich, przez wieloryby zamieszkiwanych. Prawił też czasem o polityce, łącząc narody i państwa w najdziwniejsze koalicje różnego kalibru, oświadczając się z sympatją swą dla Hiszpanów, a antypatją dla Szwedów albo Niemców, przepowiadając wojnę lub pokój, rzeczy straszne lub szczęśliwe. I gdy przesądne wróżby panny Teodory czyniły z niej przedmiot ogólnych żartów i złośliwych docinków, rozprawy i opowiadania pana Klemensa uważanymi były w rodzinie całój za wielce pożądany wszystkim objaw dobrego humoru, i u wszystkich przytomnych, nie wyłączając samój Teodory, budziły wiarę bezwzględną i wysoką admiracją dla rozumu i ukształcenia jego.

Pani Jadwiga nawet stawiała się dlań wtedy czulszą i mniej często spoglądała przez okno swój sypialni na okna Ernesta Robka. Helka, słuchając go, otwierała szeroko piękne swe oczy, i oświadczała głośno, że chciała-by mieć takiego rozumnego męża; co się zaś tycze panny Teodory, ta powtarzała mi co do słowa wszystko, co usłyszała od brata, mówiąc przytém:

— Już to nie darmo ojciec nieboszyk na edukacją jego pieniądze tracił.... Człowiekiem jest, co się zowie...

Drugi rok upłynął, odkąd poznałam rodzinę Końców, gdy raz, około południa, do pokoju mego wbiegła panna Teodora. Na pierwszy rzut oka poznałam, że coś nadzwyczajnego stać się musiało. Błada była jak papier, ręce jój trzęsły się, z oczu strumieniem płynęły łzy, ale twarz całą okrywał wyraz namiętnego, niewymownego uszczęśliwienia.

— Pani moja! pani droga! — zawołała, padając przede mną na klęczki i obejmując mię trzęsącemi się ramionami, — wie pani?... o mój Boże... jaka ja szczęśliwa...

Mówić nie mogła. Łkała i zarazem zachodziła się od śmiechu. Starłam się uspokoić ją; prosiłam, aby połknęła kilka kropel, uspokajających nerwy. Usłuchała mię, podniosła się z ziemi i, z wybuchem głosu nadzwyczajnym, zawołała:

— Przyjechał!

— Przyjechał, — mówiła po chwili szeptem śpiesznym i przerywanym, — nie oznajmił nikomu, nic do nikogo nie napisał i... wczoraj wieczorem... późno... do ciotki przyszedł... Klemens tylko co wpadł do domu i powiedział żonie, żeby śniadanie przygotowała, bo z drukarni wcześniej wyjdzie, zajdzie do niego i tu go przyprowadzi... Pocciwy brat... dobry... przyprowadzi! Pani droga! ja chyba zwaryuję! a co? czy nie mówiłam zawsze, że on najlepszy ze wszystkich ludzi... że szczerze mię kochał... nie zapomniał i powróci!... Ot i wrócił! Matko Najświętsza! jak ja się mu tak z zapłakanemi oczyma pokażę? Moja złota, jedyna pani! proszę powiedzieć prawdę! czy ja bardzo staro i brzydko wyglądam?

Kiedy pomogłam jój uporządkować nad czołem rozrzucone w nieładzie loczki, a czarną suknią przyozdobiłam kolorową kokardą, spojrziała w lustro i z wahaniem rzekła:

— Może ja się i nie bardzo jeszcze zmieniłam!

Potém usiadła i, uspokojona już trochę, twarz na obie dłonie pochylając, szepnęła:

— Niech się już co chce stanie... zobaczę go!

#### IV

W mieszkaniu Końców panował ruch i zamieszanie wielkie. Pani Jadwiga, nie wiedząc sama, czy cieszyć się ma z zapowiedzianych odwiedzin gościa, bogatego podobno i znacznym urzędnikiem będącego, czy też martwić się z powodu radości i tryumfu nienawidzonej siostry męża, krzątała się po domu, dzieci stroiła, wódkę i przekąski na stole ustawiała, a co chwila, zatrzymując się przed lustrem, poprawiała sobie to włosy, to suknią, to czepceczek. Wybiegła w końcu na dziedziniec. Tu stała chwilę, zamysłona głęboko, z palcem do ust przytkniętym, potém podniosła głowę, tajemniczy, tryumfujący uśmiezek prze-



winał się po jęj ustach. Zawołała słuźacęj i kazała jęj jak najspiesznięj iść po *panienkę*. Panienką tą, śpiesznie przyzywaną, była siostra jęj, Helka.

— Powiędz panience, — dodała, — żeby zaraz, natychmiast, przyszła... że gości mamy...

Dziewczyna pobiegła pędem za bramę, pani Klemensowa weszła do mieszkania mego i zaczęła bardzo uprzejmie prosić, abym do nich na śniadanie przyszła.

— Proszę panią, bardzo proszę, i mąż kazał tęż prosić...

Obchodziła mię żywo panna Teodora, chciałam zobaczyć ukochanego jęj i przekonać się, czy nadzieje jęj są uzasadnione — poszłam. Wnet po przyjściu mojem przybył i pan Klemens, prowadząc z sobą gości. Pani Jadwiga siedziała ze mną na kanapie, za przygotowaną już śniadaniową zastawą. Teodora zaś ukazywała się kilka razy we drzwiach, i znowu cofała się do sypialni, usiłując snadź, ale nie mogąc, stłumić silnego wzruszenia. Helki jeszcze nie było.

Laurenty Tyrkiewicz, średniego wzrostu i trochę otyły, z gęstą i czarną jak smoła, choć siwiejącą już czupryną, z pulchną, czerstwą, starannie ogoloną twarzą, przystojnym był jeszcze mężczyzną i, pomimo posiadanych lat pięćdziesięciu z górą, silnie i zdrowo wyglądającym. Ubranie jego objawiało dostatek, znajomość mody, a ukłon tęż i uśmiech, któremi powitał panią Jadwigę, łączyły w sobie uprzejmość światową z głębokiem poczuciem dostojeństwa własnego. Powitawszy gospodynią domu, przymrużył nieco oczy i, rozglądając się po pokoju, zaczął:

— A gdzie jest...

Nie skończył, bo osoba, o którą zapytywać chciał, ukazała się we drzwiach. Błada jak płótno, z widocznie drżącemi rękoma, panna Teodora stanęła w progu, jak wryta, i podniosła na przybyłego wzrok nieśmiały i przepaścisto smutny. Snadź teraz, gdy go znowu ujrziała, wszystkie, różnorodne cierpienia, od chwili rozstania z nim doznane, zbiegły się do jęj serca i przez oczy jęj zdawały się mówić mu: byłam bardzo, bardzo nieszczęśliwa! Ale po twarzy pana Laurentego, na widok jęj, przebiegły uśmiechy uradowania szczerego i trochę jakby żartobliwego. Na wzór światowców, *dandinując się* nieco, to jest przechylając z boku na bok otyłą trochę swą postać, zbliżył się on do nięj, wziął obie małe i ciemne od spracowania ręce jęj w białe swe i pulchne dłonie, a patrząc w jęj twarz, z tym samym wciąż wyrazem żartobliwej wesołości, zapytał:

— Czy panna Teodora poznaje dawnego znajomego swego?

Teraz dopięro radość niewymowna i uczucie niewymownego tęż, głębokiego przywiązania, napełniły jęj oczy, i głosem cichutkim, lecz w którym dźwięczał bezmiar zdumienia, odpowiedziała:

— Ja... jabym pana miała nie poznać?

Pan Laurenty pocałował ją w rękę i szepnął jeszcze słów kilka, z których dosłyszć można było wyrazy: „dawne, dawne czasy!”

Na scenę tę pani Jadwiga patrzyła z drwiącym nieco uśmieszkiem, a pan Klemens, ze zdziwieniem na pół, a na-pół z zadowoleniem, pociągał rudego wąsa. Pan Laurenty zwrócił się ku gospodarstwu i, ukazując w uśmiechu zdrowe, białe zęby, zaczął mówić o tēm, jak to miło jest przybyć po długiej niebytności w rodzinne swe strony, jak przyjemne wrażenie sprawia na nim dom ten, w którym niegdyś tyle miłych chwil przepędził i t. d. Panna Teodora, teraz, gdy on nie patrzył na nią, patrzyła w niego, jak w tęczę, i z lekka pociągała mię za suknię. Każdy snadź wyraz, wychodzący z ust przybyłego, uszczęśliwiał ją, bo potwierdzał wszystkie jęj nadzieje.

Pan Klemens wziął w rękę butelkę z wiśniową nalewką i przepił do gościa, pani Jadwiga uprzejmie go zapraszała na sę, wędlinę i potrawkę z kury. Gdy wszyscy już dokoła stołu przed kanapą usiedli i jeść zaczęli, gospodarz wytoczył rozmowę o świeżo wykluwającęj się w głowie jego koalicji państw europejskich, dodając, że pan radzca, przybywający z dalekiego świata, lepiej zapewne, dokładnięj rzeczy te znać musi.

Pan radzca z uśmiechem pełnym galanteryi oświadczył, że wobec dam o polityce mówić nie wypada, i że stosownięj uczyni, jeżeli powinszuje panu Klemensowi tak szczęśliwych związków rodzinnych, które w nieobecności jego zawarł (tu zdobywcze i trochę czule spojrzanie rzucił na rumieniącą się z radości panią Jadwigę) i tak ślicznych dzietek, które widać ciocię swą bardzo kochają, bo ciągle coś z niąmają do czynienia (tu wska-

zującym palcem dotknął policzka małej Maniusi, siedzącej na kolanach panny Teodory, a do samej panny Teodory uśmiechnął się wesoło i przyjacielsko).

— A dlaczego to pan radzca w ślady moje nie wstąpił? — zapytał pan Klemens, dobrodusznie niby, lecz z badawczym na gościa spojrzeniem.

Na te słowa panna Teodora poruszyła się żywo i w talerz oczy utkwiała, Tyrkiewicz zaś, w pulchnych dłoniach zwijając i rozwijając serwetę, odpowiedział:

— Na obczyźnie siedząc, a przytém pracując na kawałek grosza i jaką taką pozycyą w świecie, i myśleć o tém nie mogłem. Teraz, kiedy w kieszeni dymisya już jest, a przy dymisyi i coś jeszcze... pomyśli się o tém... pomyśli!

— I należy, należy! — potwierdził pan Klemens.

A pani Jadwiga dodała:

— Już my pana ztąd nie puścimy. Na co to cudzych bogów szukać, kiedy...

— Kiedy swoje boginie są! — podchwycił gość i z rozkosznym uśmiechem doskonałego zadowolenia z siebie i wszystkiego, przyglądał się różowym plasterkom szynki, obficie choć nieśmiało kładzionym mu na talerz przez pannę Teodorę.

W téj chwili otworzyły się szeroko drzwi od sieni i wbiegła przez nie Helka, zrumieniona od szybkiego biegu, z palającymi oczyma i włosami rozrzuconemi trochę pod narzuconą naprędce chusteczką. Pani Jadwiga zerwała się z kanapy i pobiegła do niej.

— Czemuś tak nieprędko przyszła? — szepnęła, zdejmując z jéj głowy chusteczkę i szybkim rzutem oka ogarniając całe jéj ubranie.

Dziewczynie ładnej i zgrabnej ślicznie było w sukni codziennéj, lecz modnie zrobionéj. W rękę trzymała sporą wiązkę pierwiosnków, których téż kilka tkwiło niedbale w kruczym jéj warkoczu. Nie mniej od kwiatów tych wydawała się uosobieniem wiosny. Spojrzawszy na gościa, zapłoniła się żywiej jeszcze, znieruchomiła i z dziecinném jakby przelęknieniem otworzyła szeroko oczy.

— Pan Laurenty Tyrkiewicz, siostra moja — wymówiła pani Jadwiga, prowadząc siostrę ku stołowi, i promieniejąc cała tryumfem i radością. Wzrok jéj zdawał się mimowoli zapytywać gościa:

— A co, czy nie ładna?

Uklon Tyrkiewicza, uśmiech jego i wyraz oczu, z jakim wpatrzył się w piękną dziewczynę, odpowiadały wyraźnie: — Prześliczna!

Helka trochę rubasznie rzuciła wiązkę kwiatów na szwagra, wołając ze śmiechem:

— Masz, Klemensie! przyniosłam te pierwiosnki dla ciebie!

— Kwiatek do kożucha! — mruknął wesoło pan Klemens — ot, oddaj to lepiéj kawalerowi jakiemu... ucieszysz się!

— Kawalerowi? — z rezolutną minką zaszcebiotała Helka — oho! długo poczekają kawalerowie, zanim ja kwiaty rozdawać im będę!

Śmiała się głośno, błyskała złotawą żrenicą i białemi ząbkami zawzięcie gryzła porcyjkę chleba z masłem. Tyrkiewicz oka z niéj nie spuszczał. Teodory nie było w pokoju; poszła do kuchni kawę przyrządzać.

Wizyta skończyła się wkrótce potem, bo pan Klemens wracać musiał do drukarni, a Tyrkiewicz wybierał się w odwiedzinę do kilku innych dawniej znajomych sobie, domów. Na pożegnanie pocałował w rękę wszystkie trzy kobiety, pana Klemensa uściskał i wyszedł, w progu jeszcze upewniając, że godzina, którą tu spędził, uleciała mu, jak w raju, i prosząc, aby mu pozwoloném było do raju tego zaglądać jak najczęściej.

Zaledwie drzwi zamknęły się za gościem, pani Jadwiga zawołała:

— Ach! jaki miły człowiek! jak to znać zaraz, że na wielkim świecie bywał, i że coś między ludźmi znaczy! Jak ubrany! jaki dumny sobie a i grzeczny razem! a kiedy mówi, to zdaje się, że z książki czyta!

Helka, okręcając się przed lustrem i przyglądając się zgrabnej figurze swéj z przodu, z tyłu i z boków, od niechcienia zawołała:

— A i przystojny sobie dosyć... choć już odrobinę si... wa... wy!...

A pan Klemens, stojący pośrodku pokoju i w zamyśleniu pociągający wąsa, podjął:

— Siwawy czy tam niesiwawy, przystojny czy nieprzystojny, ale, że znaczy coś na świecie, to pewno. Oto, jak ludzie umieją czasem dochodzić do wszystkiego. Kiedy wy-

jeźdźał ztąd, małuczki kancelarzystą był i gołym, jak święty turecki, a teraz, panie, rangę „sowieтника” ma, i biletów bankowych w kieszeni kupę... ot taką...

— Nie może być? — krzyknęła pani Jadwiga.

— Na własne oczy widziałem. Kiedym dziś przyszedł od niego, od niechcienia niby, rozmawiając ze mną, wyjął pugilares ogromny i dostawał z niego pieniądze na drobne wydatki... Ja także niby od niechcienia zaszedłem go z tyłu i spojrziałem w pugilares... pieniędzy gmach! Dwadzieścia tysięcy rubli srebrem najmniej... ale zdaje się, że chyba więcej jeszcze!...

— Mój ty Boże! zkadże on tyle pieniędzy nabral? — dziwiła się pani Jadwiga.

— Słyszę, spekulacje tam różne urządzał i tak zarabiał...

— No, no! chociaż raz ktoś porządny do domu się nam trafił!

Mówiąc to, z zamyśleniem patrzyła na siostrę. Helka zamyśliła się także i tajemniczy, choć wcale niesmutny, uśmiezek wił się po świeżych, jak wiosna, jęj ustach.

Jedna tylko panna Teodora żadnego w rozmowie tej udziału nie brała. Sprzątała ze stołu, przymiatła podłogę i nie podnosiła oczu na nikogo. Bledsza niż zwykle i ze spuszczonej powiekami, twarz jęj miała wyraz zmęczenia i smutku.

W parę godzin potem przybiegła do mnie.

— Pani moja — zaczęła, siadając i opierając czoło na rękę — jak to dziwnie! jak to dziwnie! Myślałam zawsze dawniej, że gdyby on wrócił, była-bym taka szczęśliwa... I prawda, kiedy dowiedziałam się, że wrócił, o mało nie umarłam z radości; ale zaraz potem tak mi się serce czegoś ścisnęło, a teraz znowu cieszyć się nie mogę... Rada jestem, że zobaczyłam go, zupełną już teraz pewność mam co do serca i zamiarów jego, a cieszyć się jak nie mogę, tak nie mogę... Czuję coś takiego, jak gdyby mi serce osłabło bardzo i cieszyć się siły nie miało...

Po chwili mówiła dalej:

— Mój ty Boże! dlaczego to tak? oto naprzykład nas dwoje... on i ja! Te same lata płynęły dla niego i dla mnie... ja pracowałam i on pracował... dziesięć lat blisko młodszą jestem od niego, a proszę-ż spojrzeć na nas! co za porównanie! On zdrow, silny, przystojny, wesoły i bogaty też, i ze znaczeniem u ludzi... a ja? co to mówić? czy ja siebie nie znam? Ot, ciało sterane, z taką jakąś zmęczoną i smutną duszą... Potem wstrząsając głową i patrząc w ziemię, dodała:

— Co to dziwnego! czternasta część! zawsze i wszędzie czternasta część!

Nazajutrz pan Klemens, spotkawszy mię na dziedzińcu, proszącym tonem zaczął:

— Niech pani będzie łaskawa powie... pani to zna świat i ludzi... czy to być może, aby ten Tyrkiewicz wrócił tu dla Teosi i o nięj naprawdę myślał? Chciał-bym ja tego bardzo, bo to i dla nięj było-by szczęście wielkie, i dla mnie honor niemały takiego szwagra mieć... Kochali się oni z sobą kiedyś, to prawda, i wczoraj czule z nią się przywitał, a z nami po przyjacielsku się obchodził... ale czy to być może? czy to, bogatym będąc i w znaczeniu, młodęj i bogatęj żony on sobie nie znajdzie?

Pani Jadwiga zaś, przybiegłszy do mnie na chwilę, szeptała:

— Moja złota pani! czy to ona może jeszcze myśleć o człowieku takim! czy to on właśnie dla nięj tu powrócił? Ot, ciotka jego, pani Antoniowa, która domek swój ma i kapitałik niezły, napisała do niego, że czuje już koniec swój blizki... to i przyjechał, żeby sukcesyi dopilnować... a ta głupia, jakby na sto koni wsiadła, taka kontenta!...

Istotnie, bywały dnie, w których serce panny Teodory odzyskiwało całą młodzieńczą siłę kochania i radości. Ze wszystkich szczęśliwych chwil swych i rozkosznych myśli zwierzała się zawsze przede mną. Opowiadała, jak pan Laurenty silnie ją zawsze przy powitaniu ścisła za rękę, jak przypomina jęj dobre dawne czasy, i mówi, że tak dobrej osoby, jak ona, nigdy w życiu całém nie spotkał. Parę razy jaśniejąca radością oznajmiła mi, że chodziła z nim na spacer „pod rękę;” innego znowu dnia szepnęła, płoniąc się, że słyszała, jak pan Laurenty mówił jęj bratu:

— Trzeba mi żenić się, panie Klemensie! pora już gniazdko własne założyć i ptaszka miłego w niém posadzić!

— Pocciwy Klemens! przekonałam się teraz, że zawsze jednak brat bratem jest i siostrze dobrze życzyć musi... ciągnie go do domu, jak może, i wydatków nawet na przyjęcie nie żałuje... A i ta, nie wiem, co się jęj stało, przyjmuje go jak najlepięj i zębki do niego szczerzy. Dumna pewno z tego, że człowiek taki bywa u nięj... i komplement jakiś powie

czasem jęj, albo jęj siostruni. U matki ich był nawet z wizytą... nie wie on naturalnie o tém, jakie to są stosunki nasze... widocznie familią bratowęj mojęj uszanować chciał... Oj, pani droga! kiedy mówiłam, że najlepszy to jest człowiek na całym świecie, prawdę mówiłam. Co to! wierność taka i taki szacunek w kochaniu! rzadka to rzecz na świecie! Nacierpiałam się, to nacierpiałam w życiu, ależ za to i szczęścia równego memu na świecie nie będzie!

I teraz czuła się już szczęśliwą, tak szczęśliwą czasem, że, gdy mówiła, oddech zamierał w jęj piersi, bladła i ręce splecione przyciskała do czoła. Dziwna rzecz jednak, szczęście to, uczuwane głęboko i namiętnie, nie odmładzało jęj, ale przeciwnie, męczyło i ku starości jakby popychało. Rumieńce jęj, świeże wprzódy, przybierały czasem barwę sinawą, piękne oczy zapadły i otoczyły się drobnutkiemi zmarszczkami, ręce drżać zaczęły. Widocznie organizm ten, spracowany i zwątlący, nie posiadał już dosyć siły do przenoszenia doznawanych wrażeń; szczęście, przybyłe późno, rozstrajało zmęczone jęj nerwy. Przytém od dnia przybycia Tyrkiewicza stała się zalotną i strojnisią. Z szuflad komody wywlekała stare suknie, szaliki, wstążki przeróżnych kolorów, i sporządzała z nich sobie stroje, niekoniecznie dobrze ją zdobiące. Włosy téż, z których dumną była i które istotnie były niepospolicie piękne, trefić zaczęła w sposoby rozliczne, piętrzyć nad czołem niezmiernie wysoko, lub téż jak młodziutkie dziewczę, opuszczać na plecy i ramiona w spletach i lokach. Raz Tyrkiewicz, ujrzawszy ją w stroju takim, rzekł z uśmiechem:

— Jak panna Teodora młodziutko wygląda!

Pani Jadwiga i Helka parsknęły śmiechem, ale ona nie zwróciła na to najmniejszej uwagi i nie posiadała się z radości, a nazajutrz włożyła na siebie więcej jeszcze kolorowych szmatek i uczesała włosy w drobniejsze jeszcze, zupełnie już dziecinne, loczki.

Co pewna, to że Końcowie ciągnęli do siebie Tyrkiewicza usilnie i widocznie. Pan Klemens cały czas wolny od zajęć w drukarni z nim przepędzał, a pani Jadwiga zapraszała go wciąż na śniadania i herbaty. Widocznie téż Tyrkiewicz rad był wielce okazywanęj mu uprzejmości; u Końców bywał codziennie, a dość często przynosił z sobą cukierki, ciastka i bakalie, które pani Jadwidze, jako gospodyni domu, oddawał.

W oficyncie wesołość panowała teraz większa, niż kiedykolwiek, bo, zamiast kłótni i narzekania, słyhać tam było ciągle wesołe śmiechy, ożywione rozmowy, brząkanie naczyń stołowych, a czasem téż tajemnicze, poufne szepty pani Jadwigi z mężem, szepty, wśród których żona, prosząc jakby o coś męża, lub namawiając go do czegoś, przymilała się do niego, głaskała ręką po czole, okazywała się słowem żoną tak kochającą i czułą, jak nigdy. To téż i pan Klemens czuł się tak szczęśliwym i dumnym, jak nigdy, a Helka przylatywała do siostry po kilkanaście razy dziennie. Nieustannie widywałam ładną twarzyczkę jęj, przesuającą się szybko za oknami mego mieszkania. Gdy wiosna rozkwitła zielenią i kwiatami, piękna dziewczyna wplatać zaczęła w krucze warkoczce pachnące gałęzie czeremchy lub jaśminu i, strojna zawsze, lekka, śmiała, wpadała do bawialni, nucąc i w śmiechu szczerząc białe zębki. Daremnie teraz Ernest Robek, wysmukły i blady metr tańców, melancholijnie przechadzał się godzinami całemi około domowstwa Końców; daremnie wystawiał na promienie słońca lakierowane buciki swe i błyszczący kapelus, a o szaręj godzinie otwierał okna ze sztorami, powiewającemi nad zielenięjącą gęstwiną buraków i włoszczyzny; dwie kobiety zdawały się zapominać o jego istnieniu. Co innego zupełnie zapełniało teraz myśl ich i czas.

Dnia pewnego panna Teodora powiedziała mi wiadomość, niezmiernie dla nięj miłą. Pan Laurenty kupił w piérwszym magazynie śliczny garnitur mebli, gotowalnią damską i tuzin krzeseł wiedeńskich do jadalnego pokoju, a usłyszawszy od pana Klemensa, że dom od ulicy za miesiąc będzie do najęcia, bom ja oznajmiła mu, że z miasta wyjeżdżam, oświadczył chęć wynajęcia go dla siebie.

— Widzi pani, jak on to wszystko dobrze obmyślił. Kupił meble, wynajął mieszkanie, a teraz już i słowo ostateczne wymówi. Jutro Klemens daje dla niego obiad. Wszak zaprosił już panią? prawda? a i matkę jego żony; ta modniarka, będzie także. Po obiedzie wyjdę sobie, niby nic, z mieszkania i usiądę w chmielowęj altance. On tam przyjdzie niezawodnie i rozmówi się ze mną ostatecznie. Niedarmo powiedział mi dziś: niech panna Teodora po dawnęj przyjaźni paciorek na moję intencją zmówi, bo jutro dla mnie dzień ważny będzie... O, prawda to, prawda! ważny to dzień jest, w którym dwa serca długo rozłączone, połączą się z sobą na wieki...

Z załamanemi dłońmi i wilgotnym okiem, stłumionym głosem szepnęła:

— Ot i nadchodzi już moment ten uroczysty i szczęśliwy... Boże mój! czém ja u Ciebie na tak wielką łaskę zasłużyć mogłam!

Widziałam ją dnia tego, jak o zachodzie słońca nosiła po dziedzińcu małą Maniusię. Najulubieńszy z gilów jęj zleciał z gałęzi brzozy i usiadł na jęj ramieniu. Kundel Filon chodził też ślad w ślad za nią, a z kundlem mocował się i za suknię ciotki co chwila chwycił pyzaty Janek. Całowała Maniusię, śmiała się do ptaka, schylając się, głaskała po grzbiecie Filona, i żartobliwie targła złote włosy Janka; na twarzy jęj malowała się szczęśliwość łagodna i zupełna; można-by rzec, że świat cały w tęj chwili kochała serdecznie, i że dla świata całego czuła głęboką i nieograniczoną wdzięczność.

Nazajutrz była niedziela. Pan Klemens o wschodzie słońca wyprawił się na rynek po gospodarskie sprawunki, a w godzinę potem wrócił z kwiczącym przeraźliwie prosięciem w jednę rękę, a w drugę z koszem pełnym mięsiwa, jaj i białego chleba. Z oficynki dochodziły aż do mieszkania mego stukania, siekania, trzask ognia i zapachy kuchenne. Panna Teodora, w białym kaftaniku i fartuchu, z zawiniętymi po łokieć rękawami, krzątała się po kuchni i dziedzińcu wesoło i żwawo. Pan Klemens poszedł do kościoła, pani Jadwiga w zamkniętej sypialni stroiła siebie i dzieci. Około południa przybiegła Helka w błękitnej sukience, świeżej i szeleszczącej, a gdy na dziedzińcu już zdjęła ozdobny pasterski kapelusik, główka jęj zajaśniała w słońcu, jak prześliczny obrazek, ustrojony w kwiaty. Potem przyszła matka dwóch młodych kobiet, chuda, blada kobiecina, z cierpiącą, łagodną twarzą, w wytartęj wełnianej sukieneczynie i z małym warkoczykiem z tyłu głowy, przypiętym wielkim, staroświeckim grzebieniem; a gdy o drugęj weszłam do oficynki, znalazłam w bawialni stół, nakryty grubą, lecz czystą bielizną i tanim, lecz połyskującym od czystości, fajansem. Prędko po przyjściu mojem zjawili się pan Klemens i Tyrkiewicz. Jak zwykle bywało, przyszli razem. Pani Jadwiga, strojna w żabot z kokardami i zalotny mały czapeczek, podała rękę gościowi i ze słodkim uśmiechem zaczęła od wymówki:

— Czemu tak późno?

— Że było mi pilno, nikt wątpić nie może — z ukośnem na Helkę spojrzeniem odrzekł gość — jeżeli zaś późno przyszedłem, winien temu szanowny małżonek pani...

— A! Klemensie! czy to pięknie?...

Pan Klemens tłumaczył się, że z kościoła wraz z panem „sowiecikiem“ zaszli do cukierni, aby gazetę przeczytać i w bilard zagrać. Tyrkiewicz tymczasem witał się z matką gospodyni domu, całował ją w rękę i żartobliwie wymawiał, jak może pozwolić na to, aby panna Helena tak ładnie stroiła się w kwiaty i ludziom do reszty głowy zawracała. Błada, mizerna kobiecina rosła z dumy i radości, a promiennem okiem ogarniając to jednę córkę, to drugą mówiła:

— A cóż? młodość to, panie dobrodzieju, młodość! Ja zawsze tak myślałam: niech ja już sobie pracuję i zapracuję się, byle one młodości użyły i ludziom pokazać się mogły.

Z rąk jęj chudych i igłą nakłutych, z oczu nabrzmiałych i zmęczonej, cierpiącej twarzy, znać było istotnie, że pracowała i zapracowywała się, tak jak znowu powierzchowność cała i stroje córek jęj objawiały, iż, dzięki pracy tęj, przywykły one do używania młodości i ukazywania się oczom ludzkim w pełni wdzięków.

Służąca, ustrojona świątecznie, wносиła już do pokoju półmisek z kołdunami, a panny Teodory nie było jeszcze. Cały ranek zajęta przyrządzaniem obiadu, przygotowywaniem naczyń i nakrywaniem do stołu, niedawno dopiero pobiegła na salkę, aby uczesać się i ubrać. Już towarzystwo całe usiadło do stołu, a pani Jadwiga własną rączką nakładła kołduny na talerz gościa, gdy Teosia ukazała się we drzwiach. Nieba! co ta kobieta zrobiła z siebie dnia tego! Daremnie wczoraj w wieczór perswadowałam jęj, aby nie kładła sukni tęj z zielonego bareżu, która, długie lata przeleżawszy w szufladzie komody, przekrojona i przerobiona, obejmowała i tak zbyt szczupłą jęj kibić stanikiem ciasnym i niezmiernie długim, a u dołu rozpościerała się szeroko kilku spłowiałymi falbanami. Włożyła ją! W dodatku, włosy ogromne, wijące się loki, opadały jęj na plecy, ramiona i czoło, skosmaconą i szeroko rozpostartą gęstwina, a w nich tkwiło parę gałązek śnieżnego jaśminu, przy którym twarz jęj i szyja wyglądały strasznie żółto. Kolące uśmieszki przewinęły się w oczach i po ustach obu kobiet. Pan Klemens zaś, spójrząwszy na siostrę, usta od zdziwienia otworzył, a potem na-pół z gniewem, na-pół ze śmiechem, zawołał:

— A, w imię Ojca i Syna! cóż to za czupiradło zrobiłaś dziś z siebie, Teosiu!

— Mój Klemensie... — cichutko i ze zmieszaniem najwyższém zaczęła Teodora, ale nie dał jęj dokończyć pan Laurenty.

— A! — zawołał — przepraszam cię bardzo, panie Klemensie, ale tak mówić do damy nie wypada! Pannie Teodorze zresztą we wszystkiém do twarzy!

Ujął się za nią! powiedział, że jęj we wszystkiém do twarzy! Jakież niewymowne szczęście rozlało się po całej tęg drobnej, zmiętej, okrągłej twarzyczce, zanurzonej, jak w otchłani, w gęstwinie wijących się, zczochranych, we wsze strony sterczących, loków. Jakaż bezgraniczna miłość i wdzięczność napełniła te piękne, jak bławatki szafirowe, oczy, gdy z wolna podniosły się one na twarz wspaniałego obrońcy i czulego, wiernego kochanka! Ale co było dziwném, to, że pani Jadwiga, ani Helka, nie uczuły się bynamniej zmartwionemi, ani obrażonemi, tęg głośném ujęciem się gościa za kobietą, której nienawidziły, i wypowiedzianém jęj przez niego komplementem. Owszem, młoda kobieta pochyliła się, jakby czegoś pod stołem szukała, a wistocie dlatego, aby ukryć śmiech ją ogarniający, a piękna dziewczyna, zasłaniając sobie usta serwetą, rzuciła przez stół sporą galkę z chleba, która trafiła prosto w cel, więc w pulchny policzek pana Laurentego. Ugodzony w ten sposób gość, krzywiąc się i jęcząc, niby z bólu, chwycił się za policzek, a błada, chuda kobiecina, z rękoma nakłutemi igłą, pożerając oczyma swawolną i rezolutną córkę, zaniósła się takim serdecznym śmiechem, że aż grzebień, przytrzymujący z tyłu malutki jęj warkoczyk, o mało nie spadł z jęj głowy, ale podchwyciła go pani Jadwiga, i z wielką starannością wpięła go we włosy matki, poczem pocałowała ją w żółte, pomarszczone czoło.

Kiedy pan Laurenty wypowiedział już kilka skarg, na srogie rany i bóle, które panna Helena ludziom zadaje, pan Klemens zapytał go, czy zauważył, iż w dzisiejszej gazecie zanosi się na srogą w Europie wojnę. Zagadniony w ten sposób gość, odłożył tym razem na stronę salonowy skrupuł, niedozwalający mu o polityce mówić przy damach, i dowodząc zaczął, że wielka wojna w Europie zupełnie w czasach tych niemożliwą była. Dowodzenia swe popierał argumentami, świadczącemi o szerokiém czytaniu i bogactwie posiadanych wiadomości; wymawiał nazwiska głównych mężów stanu europejskich, rysował palcem na obrusie Ren, Dunaj, Elbę i Dardanellę, i zapędził się tak daleko, że dla poparcia nie wiem już jakiej tezy, wyrysował nawet Amazonkę, największą, jak zauważył, rzekę na świecie, i granice Laponii, kraju, w którym, jak nadmienił także, ludzie jeżdżą reniferami, ubierają się w futra reniferowe i żyją mięsem i mlekiem reniferów.

Nietylko kołduny, ale rosół i potrawa z prosięcia znikły już ze stołu, a pan Laurenty nie skończył jeszcze mówić o różnych spornych w Europie kwestyach i punktach, układając przymierza i kreślić horoskop europejskiej przyszłości. Pan Klemens słuchał go z natężeniem takiém, że aż powieki mrugać, a wąsy ruszać się mu zaczęły, a Helka wpatrzyła się w niego, jak w tęczę, i szeroko otworzyła oczy, co nadawało twarzy jęj wyraz dziecięcego zdziwienia.

Nie na tęg jednak był koniec. Tyrkiewicz chciał widocznie ukazać się dnia tego towarzystwu w pełni blasku swego, i roztoczyć przed niém cały szeroki krąg wiadomości. Biorąc assumpt z kilku wypowiedzianych przez pana Klemensa słów o złych finansach austriackich, mówić zaczął o bankach różnych i ich manipulacjach, o „podradach” i spekulacjach, z których ludzie „sprytni” ogromne zyski ciągnąć mogą. Pan Klemens, niechący tęg okazać się zbyt zacofanym w wiadomościach o publiczném życiu, pochwycił z kolei piérwszą sposobność mówienia o burmistrzu ongrodzkim i jego niedołęztwie, o podatkach, brukowaniu ulic i latarniach, a zapuszczając się głębiej jeszcze w przedmiot swój, wspomniął nawet o potrzebie zaprowadzenia w Ongrodzie wodociągów i urzędzenia drewnianych chodników. Potém, w coraz większy wpadając zapał, zawołał:

— Oho! żebym ja tam był w magistracie! napędził-bym ja ich wszystkich i zaraz inaczej działa-by się u nas w mieście!

Tyrkiewicz, dopijając szklanki bawarskiego piwa, odpowiedział:

— A dlaczego nie mógł-byś zostać radcą w magistracie? Masz przecie dom własny i jesteś nie gorszym od innych obywatelem miasta. Niech-no tylko osiedłę się tu na dobre i gniazdko sobie urządzę, pomyślimy o tęg we dwóch!

Pan Klemens sponsowniał cały z radości, a Helka klasnęła w ręce.

— Szwagierek więc — zawołała — będzie tak samo radczą, jak pan. Jak to pięknie nazywać się: pani radczyni? Jadziu! nie mówię już teraz inaczej do ciebie, jak: pani radczyni dobrodziejko!

Pani Jadwiga wyciągnęła rękę do gościa.

— Prawdziwie — rzekła — nie wiem, jak mamy podziękować panu za tę życzliwość, którą pan nam okazujesz!

Matka-modniarka, wyciągając też chudą rękę swą, z wilgotnymi oczyma powtarzać zaczęła:

— Prawdziwie, nie wiem, jak mam podziękować panu za tę życzliwość, którą pan dzieciom moim...

— O! pani dobrodziejko! ach, pani dobrodziejko! — mówił, obracając się na wszystkie strony Tyrkiewicz — szczęśliwy jestem, doprawdy! cieszę się bardzo! Będę także chciał korzystać... z łaski państwa...

W tém panna Teodora, która przed chwilą wysunęła się z pokoju, wróciła, niosąc na półmisku prześliczną babę, arcydzieło rąk własnych, a za nią, z odkorkowaną butelką wina i kieliszkami na tacy, weszła służąca. Pan Klemens zerwał się z krzesła, porwał butelkę i, śpiesznie napełniwszy kieliszki, a jeden z nich w rękę trzymając, zawołał:

— Zdrowie naszego kochanego gościa, pana radcy Laurentego Tyrkiewicza! Daj Boże, abyśmy z sobą w zgodzie i przyjaźni długie lata przeżyli!

— Daj Boże! daj Boże! — powtórzył chór kobiecych głosów.

Tyrkiewicz kłaniał się na wsze strony, uśmiechał się do wszystkich, dłoń do serca przykładał.

— Wiwat! — z całego już gardła krzyknął pan Klemens, jednym haustem wychylając do dna spory kieliszek.

— Wiwat! wiwat! — klaskając w dłonie, zaczęły krzyczeć kobiety, i wśród ich głosów najdonośniej i najsrebrzyściej wzbijał się głosik Helki, która też, jakby na zakończenie owacy, wyjęła z włosów przywiedle jaśminy i sypnęła niemi przez stół na gościa. Tyrkiewicz ciężko nieco, lecz szybko, obiegł dokoła stół, i obie ręce dziewczyny pochwywszy, ogniście je wycalaował. Pan Klemens zaś wcisnął mu w dłonie drugi kieliszek, mówiąc:

— Do pary, braciszku! do pary!

A gdy ten drugi wypitym został za zdrowie panny Heleny, nalał trzeci wołając: Bóg trójcę lubi!

Z trzecim kieliszkiem Tyrkiewicz, stając już na środku pokoju, w bohaterskiej pozie i z uroczystością wygłosił:

— Zdrowie gospodarstwa! Szanownych i drogich przyjaciół moich!

Nowe dziękczynienia i nowy chóralny okrzyk: — wiwat! — Pan Klemens ścisnął gościa w obu ramionach, a Helka skakała dokoła dwóch mężczyzn, klaszcząc w dłonie i krzycząc:

— Nie uduście się tylko panowie! nie uduście się!

Przez całą tę scenę, chuda, blada kobiecina, śmiała się aż do łez i wśród śmiechu wciąż powtarzała:

— Chwała Bogu! chwała Bogu! oto wesoło u nich! oto u nich wesoło!

A panna Teodora, z niedopitem w kieliszku winem, pochyliła się nade mną i do ucha mi szepnęła:

— Oto wesołe zaręczyny moje! A czy pani uważała, jak on przy obiedzie wciąż patrzył na mnie! Do kogo mówił, a na mnie patrzył! Drogi mój! ptaszek mój! orzeł mój!

Oczy jęj błyszczały ogniem tak namiętym, jakiego nigdy u nięj nie widziałam jeszcze, i zdawało się, że tuż, tuż, rzuci się na szyję człowiekowi, którego wzrokiem pożerała.

Nakoniec skończyły się wiwaty, śmiechy, całowania i klaskania; do pokoju weszła służąca i, z pomocą najętego na ten dzień chłopaka, wyniosła stół wraz z nakryciem; pan Klemens, rozgrzany wrażeniami, trunkiem i sutym obiadem, opadł na krzesło, w kącie pokoju stojące, i sapał ciężko; matka gospodyni domu wysunęła się do sypialni i legła na łóżku córki, a Helenka usiadła przy nięj na ziemi i coś jęj, to z cichym chichotem, to z zasmuconemi minkami, do ucha szepnęła.

W bawialni, na staroświeckiej żółtej kanapie, pani Jadwiga i pan Laurenty zasiedli we dwoje. Ona, różowa cała, ożywiona niezmiernie, przymilona, mówiła mu coś z cicha, zapytywała go o coś, groziła paluszkami, to znów zachęcała spojrzaniem przyjaznym

i poufałym gościem; on, rozparty i w mocno zaniedbaną pozę, rozumieniony trunkiem, a może i przedmiotem rozmowy, wciąż ją w rękę całował, a w oczy jej zaglądał, bił się w piersi, oczy ku sufitowi wznosił i wzdychał...

Panny Teodory nie było, ani w bawialni, ani w sypialni, ani w kuchni. Pierwszy zapewne raz w życiu swoim nie najrzała ona sprzątaną naczyń stołowych, nie schowała resztek z obiadu pozostałych, nie utraktowała dzieci przysmakami, dla nich umyślnie przechowanymi. Nie; nie uczyniła dziś tego wszystkiego przez zapomnienie, a może i umyślnie. Myślała zapewne, że dzień ten był świętem jej, uroczystym świętem, i że ma prawo poświęcić go tylko samej sobie. Kiedy, wracając do domu, przechodziłam przez dziedziniec, zobaczyłam ją siedzącą w ogródku, w altance z chmielu. Spełniała więc programat, z którym mi się wczoraj zwierzyła. Siedziała samotnie, w miejscu, które przypominało jej pierwsze otrzymane wyznanie miłości i oczekiwała drugiego.

Godzina minęła; przerwawszy sobie zajęcie jakiś, spójrzałam przez okno. W altance, pomiędzy gęsto już bujającą jasną zielonością chmielu, migotała brudna zielen bieżowej sukni i z lekka kołysała się w zadumie głowa, niepomiernie zolbrzymiona starganymi i spiętrzonymi lokami.

W godzinę jeszcze potem, szeroki promień zachodzącego słońca oblał altankę i rozświetlił jej głębią, a w różowym świetle tam ukazała się wyraźnie siedząca na ławce kobieta w zielonej sukni, z twarzą rozpaloną i z nieruchomym wyężeniem wpatrzona w błyszczące, jak rubiny, okna oficynki...

Słońce zaszło; przezroczysty zmrok majowego wieczora ogarniać zaczął ogródek; w altance jednak, wśród młodych łodyg, owijających wysmukłe pręty, mętnym zarysem szarzała postać kobieca. Była ona samotną i tylko u nóg jej leżał, w wielki kłęb zwinięty, pstrokaty kundel Filon.

Wtęm otworzyły się drzwi oficynki. Laurenty Tyrkiewicz, rozpromieniony, białą chustką pot sobie z czoła ocierając, w cylindrze, niezupełnie prawidłowo na głowę włożonym, zbiegł z ganku i w żywych poskokach wybiegł za bramę.

Wtedy kobieta, siedząca w altance, zerwała się z ławki na równe nogi, stanęła nieruchomo i, z wyciągniętą na przód szyją, za odchodzącym patrzyła. Gdy znikł za bramą, długo stała jeszcze, jakby zdumiona i zawiedziona, a potem z wolna przebyła ogródek i do oficynki weszła.

Wiem dokładnie, co się stało później.

Gdy Teodora stanęła na progu małej bawialni, oboje Końcowie, matka ich i Helka, siedzieli dokoła stołu przed kanapą, rozmawiając z sobą z cicha, lecz z ożywieniem wielkim. Helka była bardzo różowa i ze śladami łez na twarzy; pan Klemens całował rękę żony, która czule obejmowała jego szyję, a ujrawszy wchodzącą, z błyskającymi oczyma zawołała:

— Ach, Teosiu, gdzie-żeś była tak długo! o niczym nie wiesz! Powinszuj-że Helce! wychodzi za mąż, oświadczył się jej dziś pan Tyrkiewicz i już są po słowie!

Panna Teodora przyskoczyła do stołu i krzyknęła:

— Nieprawda! Kłamiesz!

— Spytaj się brata — odparła spokojnie pani Jadwiga.

— Naprzód, moja Teosiu — zaczął z powagą pan Klemens — proszę mi do żony mojej tak niegrzecznie nie przemawiać...

— Co mi tam grzeczność twoja! — wołała kobieta — jeżeli tak dbasz o żonę, dlaczego tak już wcale nie dbasz o siostrę i pozwalasz żonie, aby mi takie kłamstwa w żywe oczy rzucała?

— Jakie kłamstwa? — zaczął pan Klemens — to czysta prawda jest, i trzeba tylko być głupią, jak ty jesteś, aby temu nie wierzyć!

— Helciu, pokaż jej pierścionek zaręczynowy! — zawołała do siostry pana Jadwiga.

Helka podniosła do góry białą rękę, na której błyszczał pierścionek z turkusem. Był to ten sam pierścionek, który pan Laurenty nosił na małym palcu ręki.

Teodora skamieniała na chwilę, lecz wnet zawołała znowu.

— Nie prawda! nie prawda! kłamiesz! kłamię wszyscy, dlatego tylko, żeby mnie udurzyć! to nie zaręczynowy pierścionek! ona go tak sobie wzięła! Ukradła może! czy ja wiem?



— Proszę mi zaraz milczeć! — krzyknął pan Klemens. — Jak śmiesz mówić coś podobnego o siostrze mojej żony!

— Daj pokój, Klemensie! to waryatka! — wołała pani Jadwiga.

Helka śmiała się do rozpuku, wołając:

— Nie pierścionek, nie pierścionek ukradłam ja, ale samego jój narzeczonego!

A modniarka łagodnym i współczującym głosem wtrąciła w chór ogólny:

— Może pani wody trochę napije się... tam na komodzie stoi karafka z wodą...

Kobieta szalała. Ochrypla od krzyku, jakby samę siebie ogłuszyć chciała, wciąż chwytając się za głowę, krzyczała:

— Kłamiesz, jędzo! kłamiesz, ty źmijo! kłamiesz, ty bracie wyrodny! kłamiecie wszyscy!

W téj chwili rozległy się na wschodach gankowych śpieszne kroki mężkie.

— Ot i pan Tyrkiewicz wraca! — zawołała pani Jadwiga i dodała:

— Wiész co, Teosiu, przestań krzyczeć i zapytaj się samego pana Tyrkiewicza, czy mówimy prawdę, albo nie...

Tyrkiewicz stanął w progu. Teodora rzuciła się w kąat najciemniejszy. W całym pokoju zresztą zupełnie już prawie zciemniało. Gość, zasapany od szybkiego biegu, niósł w ręku spore i ozdobne pudełko z cukierkami. Przeszedł szybko pokój i, pomimo grubego zmroku, rozpoznawszy wśród obecnych Helkę, postawił przed nią pudełko, a sam nachylił się nad rączkami jój, które mu podała:

— Państwo kochani! — zawołał, prostując się — na miłość Bożką, dajcie światła! niech napatrzę się na moję przyszlą żoneczkę!

Pani Jadwiga, przepraszając, że zaniedbała obowiązki gospodyni domu, rzuciła się do zapalenia lampy, a Teodora wysunęła się z ciemnego kąatka i z oficynki wyszła.

Widziałam ją, jak w zmroku, pędem błyskawicy przebiegła dziedziniec, a po chwili, nad sufitem moim usłyszałam krzyk połączony ze łkaniem:

— Boże miłosierny! zlituj się nade mną!

I nic potem. Przez całą noc panowała na salce cisza zupełna; nie słyhać tam było ani jęków, ani płaczu; a gdy nazajutrz wychodziłam około południa na miasto, małe okno, zawieszone nad rozłożystą płaczącą brzozą, szczelnie było zamknięte i za szybami jego migotało tylko ponsowe pierze gilów.

Pan Klemens, wróciwszy z drukarni, posłał siostrze przez służącą obiad i nawet herbatę, którą umyślnie dla niej urządzić kazał, a potem sam poszedł na salkę i zabawił tam długo. Wyszedł na dziedziniec z miną jakby zmieszana i zafrasowana, ale na ganku spotkały go dwie młode kobiety, ujęły po ramiona i, do ogródka zaprowadziwszy, długo przechadzały się tam z nim, szepcząc mu i chichocząc ze stron obu. Około wieczora, Tyrkiewicz przyjechał z dwiema miejskimi dorożkami, i całe towarzystwo zabrał z sobą na zamiejską przejażdżkę. Dzieci nawet pojechały i Filon za dorożkami pobiegł.

Późno już było, a Końcowie nie wrócili jeszcze, bo z przejażdżki zajechać mieli do ciotki narzeczonego. W zagrodzie całej panowała cisza zupełna, przerywana tylko nuceniem młodej służącej, szyjącej przy małej lampce w kuchni oficynki, i żalonym miauczeniem białego kotka, siedzącego na poręczy ganku, gdy do pokoju mego weszła panna Teodora. Miała na sobie znowu dawną swą czarną sukienkę, a włosy jój, niedbale w jeden warkocz splecione, nie kręciły się już nawet w dawne nad czołem loczki. Przez upłynioną dobę postarzała o lat dziesięć. Policzki jój obwisły i pomarszczyły się, źrenice przygasły, ręce drżały widocznie.

— Przyszłam pożegnać się z panią — rzekła cichym bardzo, bezsilnym głosem — jutro wynoszę się z salki...

Zdziwiła mię wiadomość ta. Myślałam z razu, że w żalu i urazie dobrowolnie opuszcza dom brata, i chciałam perswadować jój, aby tego nie uczyniła.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Zapewne — przerwała mi — gdybym mogła, została-bym.. choć życie było-by mi tu dwa razy jeszcze cięższe, niż wprzódy; ale... tułaczka po świecie... straszna, głód... jeszcze straszniejszy, i tak przywykłam do ścian tych rodzicielskich... została-bym już do końca, daj Boże, prędkiego... ale nie mogę! wyprawiają mię ztąd... Matka panny młodej na salce mieszkać będzie...

Coś, jakby spazm płaczu, jętko w jej piersi; lecz zaraz potem, tym samym, co wprzód, bezdźwięcznym szeptem, mówić zaczęła:

— Brat powiedział, że mogę jeszcze miesiąc tu pomieszkać... aż do ich ślubu, a należność moją, te trzysta rubli, wypłaci mi, kiedy zażądam, choć-by zaraz... Otóż ja jutro pieniądze wezmę i wyniosę się. Nie chcę już więcej im na drodze stać, niech już sobie zaraz zabierają ten kątek... miesiąc piérwój, czy późnij, wszystko jedno... a może i lepiej, że z nim się już nie spotkam; bo choć mu z całego serca przebaczyłam, ciężko-by mi było teraz na niego patrzeć!...

Było to jedyne jej o Tyrkiewiczu wspomnienie. Zdaje się, iż wstydziła się długich swych złudzeń i lękała się przytém wspominać go, aby czegoś złego o nim nie powiedzieć. Jedną tylko jeszcze uczyniła o przeszłości ukośną wzmiankę:

— Taka byłam ślepa! — szepnęła — nie widziałam wcale, co się koło mnie działo... sądziłam według siebie... wszystko teraz skończone... i tylko o kącie jakim i kawałku chleba myśleć muszę...

Zapytała ją, co z sobą uczynić zamierza... Powiedziała mi, że zamieszka u dawniej znajomej swojej, stariej kobiety, utrzymującej się z robót ręcznych.

— Może pani uważała w zaułku ten domek maleńki, z dwoma okienkami nad samą ziemią, za okienkami wiszą zawsze na pokaz roboty różne... podstawki włóczkowe, paciorkowe profitki i buciki dziecinne... Będę tam mieszkać, bieliznę brać do szycia i, we dwie żyjąc, będziemy latać się jakkolwiek, byle do końca.

Gożą, jak ogień, dłonią uściśnęła mi silnie rękę i wyszła. W twarzy jej zestarzałej i martwej, w zgasłym wzroku i ruchach powolnych, panowała grobowa cisza. Gdyby nie ustawiczne drżenie rąk i krótkie, rozpaczne błyski, przebiegające od chwili do chwili po jej żenicach, można było-by myśleć, że była zupełnie spokojną.

Nazajutrz, pan Klemens tłómaczył się przede mną z postępków swego względem siostry.

— Widzi pani — mówił — jej przecież wszystko jedno, gdzie mieszkać będzie, a nawet gdzieindziej spokojniej i lepiej jej być może, niż u nas, bo z żoną moją żyć się jakoś nie mogły... mnie zaś salka ta koniecznie jest potrzebną. Tyrkiewicz przepada za narzeczoną, a ztąd i matkę jej chce do siebie przytulić... Nie mogę-ż ja odmawiać człowiekowi takiemu, który wielki honor robi nam wszystkim, żeniąc się z siostrą żony mojej... a i żona przecież coś znaczy... i oddawna chce matkę mieć bliżej siebie... nie mogę-ż ja wszystkim na przekór robić, tém bardziej, jeżeli przez to żadnej krzywdy nikomu się nie wyrządzi... A jakąż Teosi krzywdą? Należność jej wypłacę natychmiast całkowitą, i zapominać o niej nie będę... biedy nie zazna nigdy.

Ostatnie wyrazy wymówił tonem silnego i szczerego postanowienia. Pomimo wszystkiego, trochę mu żal było siostry, i uspokajał sumienie swe obietnicami czuwania nad bytem jej, choć z daleka.

Teodora do samego południa opróżniała komodę swą, i wyjęte z niej łachmanki układała do kufra i tłomoka. Potem przez najętego posłańca odesłała tłomok i kufer na zaułek, do domu z małemi okienkami, umieszczonemi nad samą ziemią i, upatrzwszy chwilę, w której ani Tyrkiewicz, ani Helka, nie znajdowali się w oficynie, poszła pożegnać się z braterstwem, a głównie z ich dziećmi. Poniosła też tam dwie klatki z gilami.

Pożegnanie długo nie trwało. Pani Jadwiga, na szczycie powodzeń, chciała być wspaniałomyślną i darować odchodzącą jedną ze swych sukien. Ale ona nie przyjęła podarunku, tylko prosiła, żeby gile jej miały dobre obejście się i wygodę. Dzieci zanosyły się od płaczu, gdy powiedziała im, że odchodzi na zawsze, i chciały biec za nią, ale zamknięto je w sypialnym pokoju, Teodora zaś wyszła z oficynki sama, z koszykiem w ręku i w chusteczce na głowie. Chciała widocznie, nie oglądając się, wyjść z dziedzińca; w furtce jednak stanęła, przez chwilę na ogródek, dom, oficynę i stajenkę patrzyła i, jakby ani ustać dłużej, ani odejść jeszcze nie mogła, usiadła na progu fórtki, i z chustką przyłożoną do twarzy, przez kilka minut cichuteńko płakała. Odjęła potem chustkę od twarzy, podniosła się z ciężkością i — poszła.

Wiele lat upłynęło od czasu tego do chwili, w której znalazłam się znowu na ulicy Kwietnej. Mijając porządny sześćcio-okienny dom z błękitnymi okienicami, przypomniałam sobie rodzinę Końców, i pomyślałam o odwiedzeniu dawnych mych znajomych.

Weszłam na dziedziniec i nie wiedziałam prawie, dokąd udać się mam, tak oficynka, w której mieszkali Końcowie, zmienioną miała postać. Podwyższono ją i powiększono

znacznie. Ogródek też rozszerzonym był podwójnie, dokupionym snadź placem, a budynki, sztachety, i w ogóle otoczenie całe, objawiało zwiększający się dostatek, i pilne o zwiększenie jego staranie.

W oficynie, w bawialni, której okna świeżo ładnie były pomalowane, a obok dawnych, żółtych sprzętów, znajdowały się nowsze już i wykwintniejsze, znalazłam zgromadzoną około obiadu rodzinę całą. Poznano mię od razu i powitano uprzejmie.

Pani Jadwiga nie tylko, że była jeszcze piękną, ale piękność jej stała się miłszą oku przez nabranie powagi pewnej i spokoju. Upłynione lata, przebywanie ciągle z ukochaną matką i siostrą, a może też i wzrastająca liczba dzieci, uspokoiły snadź burzliwy jej temperament. W twarzy jej odbijało się zupełne zadowolenie z losu, a gdy patrzyła na męża, widać było we wzroku jej szacunek i przywiązanie.

Pan Klemens też poważniejszym jeszcze wyglądał, jak dawniej; utył znacznie, staranniej daleko ubierał się, a każde poruszenie i słowo jego znamionowało, że czuł się nie tylko szczęśliwym, ale też użytecznym i coś w świecie znaczącym. Zecerską pracę rzucił od lat kilku, został radcą w magistracie, znaczny wpływ wywierał na sprawy miejskie i... zbierał powoli pieniądze, aby zakupić plac i dom sąsiedni. Nie mogłam sama zaprzeczyć, że poczucie godności i użyteczności własnej w człowieku tym posiadało słuszne podstawy. Spełniał on wszystko, co na stanowisku swém spełniać był powinien; przedstawiał sobą dodatni typ pracowitego i uczciwie, porządnie żyjącego mieszczanina.

Obok ojca i matki, dokoła stołu, zastawionego prostem, lecz obfitem pożywieniem, siedziało dzieci pięcioro; najstarszy, Janek, w szkolnym mundurze, Maniusia, podłotek, wystrojona, ładniutka i roztropna, i troje młodszych, zdrowych, wesołych i nieźle przez rodziców prowadzonych.

Gwarno tam było i wesoło, w małej tej bawialni, za której weneckimi oknami stały grusze rozłożyste, osypane żółtawem już liściem i niezebrany dotąd obfitym owocem, a gwar i wesołość wzmogły się jeszcze, gdy wbiegła tam pani Tyrkiewiczowa, piękna zawsze, żywa i rezolutna kobieta, oznajmiając, iż mąż jej wyjechał z miasta na dzień cały, i że ona braterstwo z całą kompanią na herbatę do siebie zaprasza.

— Mama niezdrówia i przyjść do was nie może, a chce dzieci widzieć... — dodała.

Po wyjściu pani Heleny, dowiedziałam się, że Tyrkiewiczowie dzieci swoich nie mieli, i bratanków kochali, jakby dzieci własne; że Tyrkiewicz zajmował się wciąż spekulacjami różnemi, stawał się coraz bogatszym, i szwagra do spółki w interesach przyjmował. Wszyscy razem żyli tu w zgodzie, wesoło, z najlepszymi na przyszłość nadziejami.

Zapytałam o pannę Teodorę; pan Klemens opowiedział mi, że kobieta, do której się była przeniosła z razu, dawno już umarła, i że siostra jego mieszka w zaułku, na salce, w domu, którego numer wskazał mi dokładnie.

— Nie zapominam o niej, — dodał — płacę jej regularnie miesięczną pensją, bo pieniądze swoje dawno przeżyła... stratną jest bardzo i wydawała za wiele...

W godzinę potem, znalazłszy z łatwością dom, wskazany mi przez pana Klemensa, weszłam, po chwiejących się drabiniastych schodach, na strych tak ciemny, że, potykając się na każdym kroku, omackiem prawie znalazłam jakieś, pakuł obite, drzwiczki. Przez wąziuchne, w górze wyrżnięte, okienka i szczeliny w ścianach, wpadał zimny wiatr jesienny, i z jękliwymi gwizdami przelatywał po strychu. Zastukałam do drzwiczek, a nieotrzymując odpowiedzi żadnej, uchylłam je z wolna. Widok, który przedstawił mi się od progu, był takim, że nie mogłam z razu zdać sobie sprawy z tego, gdzie się znajduję.

Był to niby pokoik, ale bardzo dziwny. Malutki, więcej długi niż szeroki, posiadał on u góry niezmiernie wązkie szlaczki sufitu, poniżej zaś ściany opadały ku podłodze, w linii zupełnie ukośnej, tak, że tworzyły doskonały, u góry rozwartą, trójkąt.

Szczególna ta struktura tak zwaną salki, spowodowana oszczędzaniem miejsca i ogólną architekturą domostwa, czyniła ją uderzająco podobną do trumny. Wązkie szlaczki sufitu wraz z ukośnie spadzistymi ścianami odtwarzały wieko trumny z dokładnością zupełną. Pokoik ten przejść było można w wyprostowanej postawie po jednej tylko linii, wykreślonej w samym jego środku; o krok jeden zboczywszy z linii tej, najmierniejszego wzrostu człowiek musiałby się już pochylać. Przy samych drzwiczkach znajdował się piecyk gliniany i kruszący się; pod jedną ze ścian stały wieszadła, pełne stariej, wypłowiałej odzieży; w głębi zaś mętnie świeciło malutkie okienko, a przy niem był stół i parę stołków. Na jednym ze stołków siedziała malutka, wyschła kobiecina, w watowanym,

podartym trochę, tołubku, bez czepka, ale z głową, bogato okrytą warkoczami zupełnie prawie białych włosów. Siedziała, bokiem zwrócona do okna i drutową robotą zajęta; na tle mętnych szybek rysował się profil jęj suchy, zaostzony wklęśnięciem ust i policzków, z gęsto pomarszczoným czołem.

Nie zaraz mię poznała, ale gdy powiedziałam jęj moje nazwisko, uśmiecnęła się uprzejmie i prosiła, abym usiadła. W izdebce, do zrujnowanego strychu przytykającej, czuć było wilgotny, przejmujący chłód; ciemnawo téz tam być musiało ciągle, bo o parę łokci zaledwie od okienka wznosiła się szeroka, brudno-szara facyata stajni jakiéjś, przy śpichrza. Z powodu facyaty téj, z okienka nic a nic widać nie było, ani nieba, ani ludzi, ani domowstw, ani nawet bruku dziedzińca, ciasnego i dusznego.

Zapytała ją o zdrowie.

— Nieszczególnie, nieszczególnie, — odpowiedziała, — nocami nie sypiam, niedowidzieć zaczynam i nogi mi puchną... widocznie koniec mój już się zbliża, i dziękowała-bym za to Panu Bogu, gdyby nie to, że strach mi trochę zamrzćć tak kiedy śród nocy, saméj jednéj, bez ludzkiéj ręki, która-by mi kroplę wody podała i na daleką drogę dobrém słowém mię obdarzyła...

Gdy mówiła to, wklęśłe wargi jęj zadrżały. Zaczęła mówić, że przecież krewni jęj, braterstwo i ich dzieci...

Uczyniła trzęsącą się ręką giest łagodny, lecz zniechęcony, i przerwała:

— E! proszę pani! już ja się tego nie spodziewam, aby ktokolwiek z nich stanął mi w ostatniéj godzinie pomocą i pociechą! Brat bratem jest mi zawsze... niéma co mówić... daję mi regularnie kilka rubli na miesiąc, abym z głodu nie marła i pod kościół żebrać nie szła... Bo te pieniądze, co wzięłam od niego, rozeszły się dawno. Trzysta rubli... toć-to nie skarby żadne... Chorowałam... i nieboszczkę tę, u którój zamieszkałam była, własnym kosztem pochowałam... to i rozeszły się. Dawno już tedy z jałmużny braterskiéj żyję, bo zarobić już nic nie mogę, i dość-by mi było tego, co on mi daje, zupełnie dość, gdyby tylko nie ten strach i smutek, że ot tak sama jedna jestem!

Mówiła mi potém, że brat odwiedza ją parę razy na rok, na chwilę wpada, bo podobno zajęty bardzo i czasu nie ma! U braterstwa raz tylko była króciuteńko z odwiedzinami, i wtedy tylko bratową widziała...

— Co mi tam w oczy jęj leżć! nie lubi mnie! Bóg z nią!...

— A dzieci brata czy odwiedzają panią czasem?

Na pytanie to wstrząsnęła głową i długo nią wstrząsała. Do źrenic jęj spłowiały, ale zawsze jeszcze świecących na dnie czystym szafirem, nadbiegły lzy...

— Janka i Maniusię przysyłałi mi czasem z początku, ale potém, kiedy Janek do szkół zaczął chodzić, a Maniusia podrosła, przysyłać przestali. Młodszych nie widziałam nigdy...

Kiedy wymawiała imiona dawnych ulubieńców swych, które tak długo i czule na rękach swych piastowała, lzy napełniające jęj oczy, wydobyły się z pod żółkléj powieki i spłynęły z wolna po obwisłych, zmarszczonych policzkach. Zresztą nie skarżyła się wcale, nie wyrzekała na nikogo, spokojnie i po dawnemu pokazywać mi zaczęła swoje roboty. Były to pończoszki, buciki i kaftaniczki dziecinne, na drótach robione, różnych rozmiarów.

— Kiedy mi grosz jaki zostanie od kupienia garstki krup i bułki chleba i od zapłaty za kwatę, kupuję sobie włóczki, bawełny, i dłużyć te maleństwo, a potém przez żonę stróża dla tych kochanych robaczków posyłam. Niech tym sposobem przynajmniej wiedzą, że mają ciotkę.

Pokazywała mi nogi swoje, obrzękłe od stóp aż do kolan i, jak mówiła, bardzo bolące. Potém z ciężkością podnosząc się ze stołka, rzekła:

— Jeszczem dziś nic nie jadła. Przepraszam panią, ale muszę w piecyku zapalić i obiad sobie zgotować...

Przywlokła się do glinianego piecyka, zapaliła w nim parę drewnienek, i przystawiła do ognia wodę w małym garnuszku. Z całej siły szczupléj swéj piersi dmuchała na ogień, aby się żywiéj palił, a gdy rozpalil się już i woda w garnuszku zawrzała, wyspała do niéj garstkę krup i szczyptę soli, a siedząc wciąż na ziemi, zwróciła się ku mnie i zapytała:

— Czy pani była u mego brata?

Odpowiedziałam twierdząco. Milczała chwilę; potém, opierając brodę na rękę i mrużącemi się oczyma patrząc w ogień, mówić zaczęła:

— Słyszałam, że u nich teraz ładnie bardzo i wesoło. Co dziwnego? Dobrze się mają i w zgodzie podobno żyją... mieszkanie sobie ustroili jak cacko, znacznych ludzi przyjmują i... pięcioro aniołków wciąż koło siebie mają...

Po chwili milczenia dodała znowu:

— U Tyrkiewiczów to już pewno pani nie była; ale słyszała pani może, że pan Laurenty coraz więcej pieniędzy zbiera, a wszyscy w całym mieście bardzo go poważają i szanują... Żonka go, słyszę, za nos wodzi, ale wierna mu podobno, niema co mówić, wierna, i zaszczyt mu przed ludźmi robi ładną twarzyczką... a on przepada za nią. Ot i jemu także dobrze na świecie!

Umilkła. Blask ognia migotał po siwych jej włosach i złocił twarz żółtą, uwydatniając chudość jej i wszystkie zmarszczki. Wymówiwszy ostatnie wyrazy, powolne spojrzenie powiodła po opadających nad nią, do wieka trumny podobnych, ścianach; po wieszadłach, z których melancholijnie opuszczały się stare lachmany, po nadpruchniałym łóżku, okrytym podartą kołderką; spojrzała potem na wielką facyatę stajni, więziennie przysłaniającą jej okno, na podarty tołubek swój i obrzękłe nogi, a patrząc znowu w ogień i trzęsąc głową, kilka razy szepnęła:

— Czternasta część! czternasta część!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-roznych-sfer-czternasta-czesc>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer. Nowelle i obrazki*, tom IV, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0608-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).